8808 III

ZAWÓD

dramat w 3 aktach

napisał

Maciej Szukiewicz

Rps 8808

Z A W Ó D

sztuka w 3 aktach

napisał

O s o b y.

PANI WIĄZECKA, obywatelka ziemska
IRENA, jej córka
PANI ŁĘSKA
Dr.HENRYK ŻMUDA, docent uniwersytetu
SOLIŃSKI, student
ŻŁOBICKI, wieczny akademik
SZCZĘSNY GŁODNIEWICZ, doktorand medycyny
ŻUNIA GŁODNIEWICZÓWNA, jego siostra
JULKA SZAŁWIŃSKA
JANKA MIŁOCKA koleżanki Ireny Wiązeckiej
IDA FELT
KASIA, służąca Łęskich
MARYNIA, była służąca Łęskich, potem Ireny
ANNA BURAK, zwana „Aniołkiem"

Rzecz rozgrywa się w wielkiem mieście.
Doba obecna.

-.-.-.-.-.-.-.-.-.-

Osoby.

PANI WIĄZECKA, obywatelka ziemska

IRENA, jej córka

PANI ŁĘSKA

Dr. HENRYK ŻMUDA, docent uniwersytetu

SOLIŃSKI, student

ŻEGOCKI, wiejscy akademik

SZCZĘSNY GRODNIEWICZ, doktorand medycyny

ZUNIA GRODNIEWICZÓWNA, jego siostra

JULKA ZAFLWIŃSKA

JANKA MIŁOCKA kolężanki Ireny Wiązeckiej

IDA FELT

KASIA, służąca Łęskich

MARYSIA, była służąca Łęskich, potem Ireny

ANNA BURAK, zwana „Aniołkiem"

Rzecz rozgrywa się w wielkim mieście.

Doba obecna.

-.-.-.-.-.-.-.-.-.-

A K T I.

Parterowy pokój ogrodowej willi. W głębi drzwi do ogrodu, po lewej okno. Prawa ściana przerwana szerokim otworem arkady łączącej pokój z oszkloną werandą. Wiodą do niej trzy stopnie przez całą szerokość arkady, ujętej z boku w ciężkie rozsuwalne portjery.- W prawo ku przodowi biurko, garniturek do pisania, książki, notaty, stołowa lampa elektryczna z abażurem. Za biurkiem na postumencie odlew gipsowy Wenus milońskiej. Z tej samej prawej strony za arkadą i między nią a drzwiami od ogrodu pianino i taburet. Pod lewą ścianą, po jednej i po drugiej stronie drzwi wchodowych dwie nieoszklone szafy bibljoteczne o dwóch kondygnacjach, górnej płytszej i dolnej głębszej ; wierzch dolnej tworzy „blatt", na którym leży nieco książek, zarazem jednak jest jeszcze dość miejsca na postawienie tam innych rzeczy.- W pobliżu dalszej szafy bibljotecznej szezlong, głowami ku oknu zwrócony. Na środku pokoju stół jadalny niewielki, ze świecznikiem elektrycznym, zwisającym od sufitu, wokół krzesła. Urządzenie mieszczańskie ale zamożne a nawet wykwintne.- U okna w głębi firanki, u drzwi lambrekiny.

Czerwcowy dzień bliski zmierzchu. Na chmurach nad ogrodem gasną zwolna ostatnie blaski wieczornej zorzy.

Przy środkowym stole służąca KASIA kończy rozstawiać talerze i układać sztućce. Nie wszystkie chcą się jej zmieścić, co ją wprawia w zakłopotanie.

Przez otwarte drzwi w głębi wchodzi ŁESKA z pękiem jaśminu w dłoniach.

S c e n a 1.

ŁĘSKA

- Jeszcze temu nie koniec ?

KASIA

/bezradnie/ Placu mało...

ŁĘSKA

Postaw gdziebądź byle było, tu czy tam wszystko jedno. /rzuciwszy okiem dokoła/ A gdzie żardiniera, wiesz ? ta duża.

KASIA

/wskazując/ Na pianinie. /idzie ku niemu/

ŁĘSKA

- No, ładne ono będzie.- Czekaj, czekaj, mniejsza z tem, niech zostanie. Przyniesiesz od nas.../namyśla się/ wazę od starego serwisu. Przynajmniej nie przewrócą i obrusa mi nie splamią. Żywo dziewczyno.

KASIA

/wybiega w lewo/

ŁĘSKA

/skontrolowała oczyma porządek i zastawę stołu,- siada na szezlongu, obok siebie kładzie jaśmin, układa go w bukiet - Pauza - Pukanie do drzwi/ Proszę. /pukanie się powtarza/ Proszę !

/Wchodzi ŻMUDA, lat 30, kilka przedwcześnie siwych włosów,- rysy nieregularne ale twarz piękna pięknem uderzającej inteligencji, zwłaszcza oczy myślące, chwilami ogniste. Zachowanie się swobodne; znać, że na codzień człowiek to zupełnie zrównoważony./

S c e n a 2.

ŁĘSKA

/przyjaźnie, z odcieniem lekkiego zdziwienia/ Pan ?

ŻMUDA

- Moje uszanowanie pani prokuratorowej.

ŁĘSKA

/cały czas z wrodzoną kokieterją i temperamentem/
- Jeszcze się pan tej prokuratorowej nie oduczył ?
/podaje mu rękę, którą on całuje/ Niech pan siada.
Pomoże mi pan bukiet ułożyć.

ŻMUDA

/odkładając kapelusz na biblioteczną szafę/ Bajchętniej.- /rzucił okiem po pokoju/ Tu się coś zmieniło..

ŁĘSKA

- Nie,- ach,owszem. Z orangerji zrobiła sobie sypialnię. Utrzymuje, że cuszę jak kwiaty rozkwitają w słońcu, czego sama najlepszym dowodem. Ale pan tego nie ciekaw. Dawno już nie był pan u nas... /poprawiając się/ to jest nie zaglądał do panny Ireny.

ŻMUDA

- Byłem bardzo zajęty.

ŁĘSKA

- Kogo widzieć kim ?

ŻMUDA

/naśladując jej żartobliwy ton/ Przywiłem stworzonkiem. Zwie się: baccillus...

ŁĘSKA

ŁĘSKA

/wpadając/ No, no, będzie się pan usprawiedliwiał przed innym trybunałem, a tymczasem musi pan starą babę pobawić. Należy mi się choć kruszynka z waszego symposionu.

ŻMUDA

- Jak pani to pięknie określiła.

ŁĘSKA

- Że... platonicznie ?

ŻMUDA

- Że po platońsku.

ŁĘSKA

- Alboż nie trafnie ? Spójrz pan: stoły gną się pod kryształami.

ŻMUDA

- Prawda. /wstaje/ Uciekam zatem.

ŁĘSKA

/zatrzymując go/ Czemu ?

ŻMUDA

- Aby nie być... trzynasty.

ŁĘSKA

- Fatalista ? Uchylmy zatem zasłonę przyszłości. /wstaje, gestem ręki liczy nakrycia/ Raz, dwa, trzy...

ŻMUDA

/wstrzymując jej rękę/ Nie, nie -

ŁĘSKA

/przyjaźnie grożąc mu/ Trzy nakrycia już panu zadużo?-

Dziś tu musi święto, Irenka od rana chodzi rozpromieniona.

ŻMUDA

/z ożywieniem/ Istotnie ?

LEŚKA

- Zdaje się pan czymś. I nie domyśla się pan ex re czego ten festyn ? Kto jak kto, ale pan powinienby coś o tem wiedzieć. Irenka święci dzisiaj...

ŻMUDA

- Rzeczywiście pani nie kończy, proszę -

LEŚKA

/kończąc za nią/ Pan musiał już otrzymać notyfikację od zwyczajnego profesora.

ŻMUDA

- ?

LEŚKA

- Bo już po profesorsku zazimował. /siada znów na swoim/

ŻMUDA

/po chwili również siadając/ Bynajmniej, tylko wierny swej zasadzie piję życie po kropli jak wytrawny pijak szampana. Najwyższe wartości leżą między ustami a brzegiem pucharu.

LEŚKA

/badawczo/ Więc gdy to puharem...kobieta ?

ŻMUDA

/mając się na baczności/ Poniekąd tak,-- głównie

wtedy. Dam przykład. /sięga do kieszeni surduta/ Oddawna koresponduję z...przyjaciółką i bywa../machinalnie dobył list i trzyma go chwilę/, że noszę przy sobie od rana taki list...

ŁESKA

/która zdążyła adres przeczytać, żywo/... firmowy -

ŻMUDA

- Co ? /spojrzał na kopertę/ A to zabawne /śmieje się trochę nienaturalnie/ Nie, to nie ten.../sięga znów do kieszeni/

ŁESKA

Ach, mniejsza o corpus delicti. Otrujesz go pan zatem i co ?

ŻMUDA

/chowając wprzód wydobyty list/ I do tej chwili nie otworzyłem go jeszcze. W ten sposób przeżywam tysiąc rozkosznych możliwości, z których kartka papieru może mi dać jedną tylko. Voila tout.

ŁESKA

/po sekundzie/ Nie pan co ? - nie chciałabym,być tą kobietą. No tak, bo pan nie ją kochasz, tylko jakieś sabaty własnej wyobraźni.

ŻMUDA

- To zależy -

ŁESKA

- Nie,panie. Już to wogóle wy młodzi, dzisiejsi... Choćby Irenka Ciszecka. Podnajmując jej mieszkanie, przydałam do niego - tak sobie buzię - spore serce.

Chwilami zdaje mi się, że mam córkę i to jest ta najlepsza okruszynka, którą sobie anektuję. Ale żeby ona była naprawdę moją - inaczej by to było.

ŻMUDA

- Cóż pani może zarzucić pannie Ironie ?

LEKA

- Niełatwo to sformułować... Powiadacie - bo to wy, wy, nie kobiety głoszą te jakieś nowe hasła - powiadacie : potrzebujemy żon i matek trzeźwiejszych, rozumniejszych, wykształceńszych, - uniwersytet zatem -

ŻMUDA

- Oczywiście -

LEKA

- Dobrze, niechby sobie brał uniwersytet, nawet medycynę,- od siebie byłam dodała : w pewnym zakresie, który zresztą i prosta kobieta łatwo sobie przyswaja choćby dlatego, że jest kobietą.- Więc jestem za zgodą na uniwersytet, nawet na medycynę, ogólnie na zdobywanie wiedzy maksymalnej, ale dlaczego z nią ma iść w parze zmiana poglądu na całość życia.

ŻMUDA

- Lękam się pani, w tem właśnie postęp.

LEKA

- Zgoda, ale czyż musi on zaraz być tak radykalnym, tak krańcowo antynomijnym ?

ŻMUDA

- Musi.

/Drzwiami z lewej wchodzi KASIA z wazą na kwiaty. ŁĘSKA gestem ręki każe jej postawić ją na biurku w prawo, poczem podnosi się i idzie za nią kontynuując rozmowę/

ŁĘSKA

- Chodzi mi o pewną dziedzinę, zupełnie specjalną. /zrównawszy się z Kasią, odbiera od niej wazę, wskazując na szezlong/ Daj jaśmin... Całkiem specjalną i to wszystko, co się z nią wprost lub pośrednio łączy. Pan wie, że w teorji można światy burzyć i gwiazdy z nieba strącać, ale w praktyce, wżyciu... /zgniewana, że Kasia przenosząc jaśmin, w pół drogi upuszcza go na podłogę/ Mogłabyś uważać ! Idź i nie pokazuj mi się na oczy. Ruszaj, sama pozbieram. /KASIA skonfundowana wychodzi w lewo, Łęska pochyla się dla zebrania kwiatów, Żmuda zrywa się z szezlonga, aby ją uprzedzić,- Łęska zdążyła jednak podnieść kilka gałązek, które układa w wazie na biurku/ Niezgrabna zawsze, niema dnia, żeby mi jakiej szkody nie zrobiła.

ŻMUDA

- Państwo mieliście jakąś inną służącą -

ŁĘSKA

- Pamięta pan Marynię ?

ŻMUDA

- Taka zwinna, fertyczna ?

ŁĘSKA

- To ją właśnie zgubiło. Pewnego dnia zaczęła tracić zwinność i... musieliśmy ją oddalić. Skończyło się dla biedaczki więzieniem.

ŻMUDA

/odbierając jej zebrane kwiaty/ Aż tak ?

ŁĘCKA

- Udusiła. Na dobitek tak się złożyło, że mąż ją oskarżał, bo inni byli zajęci.- Ale wracam do naszej poprzedniej rozmowy. Że jakiejś prostej dziewczynie powinie się noga, to jest ludzka rzecz,- niedoświadczone to, głupie i nie wyniosło z domu żadnych zasad. Ale żeby panna z dobrej, ziemiańskiej rodziny tak sama gene, z zatratą wstydliwości... Mąż zżymał się poprostu -

ŻMUDA

- Prokurator...

ŁĘCKA

- Co obiad i kolacja kruszyła o nią kopje i to było piękne, bo po kobiecemu. Ale potem odwiedzać ją w więzieniu, afiszować się, niepotrzebnie serdecznić z dzieciobójczynią -

ŻMUDA

- Dowód dobrego serca i cywilnej odwagi.

ŁĘCKA

/przenosząc kwiaty na stół jadalny/ Ba, kiedy to się drapowało w togę studjów medykowych.

ŻMUDA

/trochę tem zadraśnięty/ Nie sądzę, żeby panna Irena potrzebowała się w cokolwiek drapować. Dla psychologa jak ona mogło to być i z pewnością było polem badań i obserwacji a w tem nie widzę kamienia obrazy dla

zasad czy kobiecości. /siada przy biurku pod rzeźbą/

ŁĘSKA

/ostatecznie poprawiając gałązki bukietu/ A ja widzę, jak widzę odrazu czy skrzydła motyla starte są czy nietknięte. Pan mię co do tego nie przekona i nawzajem wolno mieć panu inne zdanie. Chciałam jedynie zaznaczyć, że w dążeniu dzisiejszych panien dostrzegam objawy niesympatyczne, jakiś specjalnej barwy radykalizm.

ŻMUDA

- Szczerość raczej -

ŁĘSKA

- Może,- szkoda tylko, że ma ona pewien odcień cynizmu, przynajmniej dla mnie.

/Drzwiami z lewej wbiega żywo IRENA WILZECKA, jak urocze zjawisko wiosny w pełnym rozkwicie/

S c e n a 3.

ŁĘSKA

- Sama ? /podchodzi do niej/

IRENA

- Zaraz tu będą. /wita ją pocałunkiem, zdejmuje kapelusz, poprawia włosy/ Bractwo czterech "I" w komplecie i kilka niemniej wybitnych jaźni. Naruderzyłam w dyskusji zostawiłam jeszcze na sali a sama do fiakra i jestem tu przed gośćmi,

ŁĘSKA

/ukazując Żmudę, który powstał/ Niektórzy cię wyprzedzili.

IRENA

/spostrzegłszy go, swobodnym, niemal radosnym głosem/ A, pan Henryk. /podbiega doń/

ŻMUDA

- Dobry wieczór pani. /podają sobie ręce/

IRENA

/serdecznie/ Jak to pięknie, że pan przyszedł, że nie zapomniał...

ŻMUDA

/nieco ciszej głosem/ Rok cały byłem tylko pamięcią.

IRENA

/gasnąc w twarzy i ruchach,- konwencjonalnie/ Dziękuję panu.

ŻMUDA

/dostrzegłszy tę zmianę, posępnieje/

LUCKA

/rozmyślnie poprawiając coś na stole jadalnym/ Jakże ci się udało, kochanie ?

IRENA

/odkładając kapelusz,na pianino/ Jak mnie się udało ? Cóż ja ! Chodziło nie o mnie, tylko o ideę,- ja dałam jej jedynie kształt. W tysiącach dusz dziewczęcych idea ta śpi snem Galatei i jeżeli stałam się dla niej Pigmaljonem, przynajmniej u tych, co były na sali...

LUCKA

- Pełno miałaś ?

IRENA

IRENA

- Nabite.

ŁĘCKA

- Ale powiedz mi już raz... Od tygodnia słyszę o tym twoim odczycie, ale dotąd nie powiedziałaś mi...

IRENA

/przytulając się do niej/ I nie powiem. Gotowaby się pani mnie wyrzec a wtedy ktoby mi dogadzał ? ktoby mię tak psuł ?

ŁĘCKA

/żartobliwie, z udanym dąsem/ Tak ? - nie chcę cię znać więcej. Odchodzę.

IRENA

- Złotuchno !

ŁĘCKA

- Nie, nie, nic z tego, nie przyhołubisz. Już mnie tu niema. Idę... /tracąc dąs/ do kuchni.

IRENA

- Pani doprawdy jak ta Marta -

ŁĘCKA

/z lekkim gestem głowy w stronę Żmudy/ Nie byłoby Mart, nie byłoby i Maryi, słuchających Pana.

IRENA

/zmieszana, półgłosem, nalegająco/ Niech pani zostanie...

ŁĘCKA

/odmawiając ruchem głowy, do Żmudy/ Dowidzenia panu.

ŻMUDA

ŻMUDA

/z całem opóźnieniem wskutek zmowy/ Moje uszanowanie.

/IRENA wychodzi w lewo/

Scena 4.

/Chwila obustronnego zakłopotania/

ŻMUDA

/z za biurka podchodzi do Ireny, matowym głosem, nielekko z intencją pytania/ Ja sobie pójdę panno Ireno.

IRENA

/miękkim, pokornym głosem/ Daruj pan, panie Henryku. Kłamałabym, mówiąc, żem pamiętała o naszym pakcie i terminie. Jakoś tam mi szybko minął ! Bardzo, bardzo przepraszam. Sądziłam, że pan... że panu to...

ŻMUDA

- Wywietrzało.- Niestety, nie ! - Zabroniłaś - nie przychodziłem. Rok próby... Owszem, może przejdzie, może się to raz wreszcie skończy, Ireno... Nie zdechłem jednak, nie przeszło. Kochałem panią jak potępieniec, do obłędu, do szału - słyszysz ? - do szału ! /drżąc na całem ciele,ledwo zdołał pohamować się,by nie rzucić się na nią/

IRENA

- Otóż to, to właśnie.- Przed czem całe moje „ja" wzdryga się i truchleje, o czem stale myśl jest dla mnie czarna...

ŻMUDA

/spojrzał na nią badawczo,z bezbrzeżnym smutkiem/ Ach, tak... /pauza/

IRENA

/gestem każąc mu siąść przy biurku, sama unikając jego bliskości/ Panie Henryku, za szczerość, z jaką pan ze mną nigdy nie mówił, przynajmniej w tej materji, odpłacę równą szczerością. Może to nie przystoi młodej pannie wobec młodego człowieka, ale ja teraz mówię jak duch do ducha, intellekt do intellektu.- Nie znam życia, rządzę się w nim instynktem a wierzę, że on mię nie zawiedzie. Przemawia za tem nie moje własne ale doświadczenie mojej matki, mojej najlepszej, najukochańszej przyjaciółki. Pamięta pan Durasowski podział kobiet ?

ŻMUDA

- Na westalki, matki i hetery ? - Natura nie zna...

IRENA

/wpadając/ Czystych typów ? Pan się myli. Moja matka jest nim właśnie a ja w nią się wdałam. Wyszła za mąż bardzo młodo za człowieka...szlachetnego, któremu jednak do życia potrzebna była - hetera ! Rozumie pan całą mizerję takiego związku ? czy pan jest w stanie wczuć się w niego i pojąć, że „szczęśliwe" pożycie małżeńskie było dla niej jedną katorgą ! Nie sądź pan, żeby mimo łączącą nas przyjaźń, to co mówię, polegało na jej zwierzeniach -

ŻMUDA

- Cóż za przypuszczenie ...

IRENA

- Dlaczegożby nie ? - połowa nieszczęśliwych kobiet nie byłaby niemi, gdyby matki umiały czy miały odwagę otworzyć córkom oczy. Otóż co do mnie, co do nas...

proszę błagam, niech pan to przyjmie spokojnie - co do nas, ja i pan ? - nigdy !

ŻMUDA

/po chwili pracy myślowej, zupełnie zwyczajnie/ A instynkt typu ?

IRENA

- Instynkt typu ? Jego typu ? - Szkoda, że pan nie był na moim miejscu. Wie pan, co on mi powiedział ? Że jeśli chcemy być razem /z naciskiem na każdym wyrazie/ a nie do tego prawa -

ŻMUDA

/z pogardą, przyjacielsko-refleksyjnie/ Panno Ireno -

IRENA

/z ręką i stanowczością/ To - nie - będzie !

ŻMUDA

/wyraźnie, z trzeźwością logicznego wniosku/ Panno Ireno !

IRENA

- Nie mówcie o tym, co pan wymyślił. Ja szczerość - szczerość. /siada przy stole/

ŻMUDA

/jak pocięty, wcześniej niż Irena siadł przy biurku,- tylko i tylko/ Co się z panią stało ? - co się to stało... Ja pani nie poznaję...kategorycznie nic nie rozumiem... /cicho/

IRENA

/chłodno,jak bardzo dużo rozumiejąco,-przyjaźnie/ Czy to

prawda, co mi mówiono, że pan jest bliski odkrycia serum antituberkulicznego ?

/Pauza/

IRENA

- Czy pan w tem idzie metodą Kocha czy własną ?

/Pauza/

ŻMUDA

/jakby budząc się/ Ja sobie pójdę, dobrze ? /wstaje/

IRENA

- Jeśli pan musi... Ale jeśli pan może zostać...

ŻMUDA

/machinalnie siada/

IRENA

- Rok z panem nie rozmawiałam, tak po ludzku.../pauza/ Nawet na moją promocję nie zajrzał pan do auli. /podchodzi do biurka/ Brakowało mi tam pana, uścisku dobrej pańskiej dłoni śród tylu obojętnych i tyluż z pewnością zawistnych.- A wie pan ? profesor coś bąka, że jak skończę moją nową pracę, to za rok, dwa pomoże mi do habilitacji. Jeszcze możemy być kolegami. /bierze go za rękę,- z prośbą w głosie/ Będziemy zawsze dobrymi kolegami, prawda ?

/Z ogrodu, gdzie już śmierzchło,- również i w pokoju zapadła już szarówka - wchodzą śród pogwaru ożywionej rozmowy ŻUMIA i SZCZĘSNY GŁODNIEWICZ, JANKA MIŁOCKA i SOLIŃSKI, za nimi - opóźniona o kilka kroków IDA FETT/

S c e n a 5.

IRENA

IRENA

/w pierwszej chwili nie poznając ich pod światło drzwi/ Tam kto ? - Ach, to wy ! /podchodzi ku nim/ Tędy ?

ŻUNIA

/ukazując w lewo na mieszkanie Łoskich/ Zawsze to bezpieczniej obejść prokuratora -

[illegible]

/z [illegible] strony ogrodu/ Zwłaszcza, gdy się po złodziejsku wchodzi przez niedomkniętą furtkę.

IRENA

/podejściem ku nim zatrzymuje ich przez chwilę w głębi, wita się z nimi,- na ostatku z Golińskim/ Miło mi powitać pana u siebie.- A gdzie reszta ?

MIŁOOKA

- Julka ? Została jeszcze i dorzyna na pobojowisku różne dziewice w białem.

IRA FITT

/[illegible] Irenę daje jej klapsa w rumię i [illegible] krótkiem „servus".- Idzie ku [illegible] zakątkowi werandy,- tuż za plecami Żrudy - i szuka na nim kontaktu elektrycznego, zapalającego świecznik nad stołem/

GOLIŃSKI

/do Ireny z emfazą komplementacji/ Istotnie pani, zanim po jej pierwszych replikach, sala była już tylko pobojowiskiem. Tak parować cięcia - winszuję.

/Drzwiami z lewej wchodzi KASIA, niosąc tacę z tartynkami i karafinkę wódki/

IRENA

/idąc odebrać od Kasi tacę, które odebrawszy stawia na dalszej bibljotece - w czem Soliński pragnie jej dopomódz, ale Irena dziękuje mu odmownym giestem głowy - w odpowiedzi Głodniewiczowi/ To pochwała z ust champiena naszych szermierzy napawa nią dumą.

KASIA

/wychodzi w lewo/

GŁODNIEWICZ

- Niech mi pani wierzy, że w tem, co mówię, niema cienia przesady. To nie komplement, tylko szczera prawda.

/Podczas tego Ida Fett znalazła kontakt i przekręca go. Naprzód zapalają się dwie lampki, potem wszystkie,- dla ich zbyt rażącego światła przekręca kontakt raz jeszcze i wraca do umiarkowanego światła. Miłocka i Żunia, które zatrzymały się za stołem, obserwują Żmudę/

ŻUNIA

/trącając Miłocką i wskazując jej Żmudę/ Patrzaj, patrzaj.

/Z lewej wchodzi znów KASIA, niosąc kieliszki i szklanki, IRENA znów je od niej odbiera i stawia na bliższej bibljotece/

MIŁOCKA

/spojrzała na Żmudę, grożąc palcem w stronę Ireny/ Filut z niej.- Poczekaj, nagadam ja jej. /powstrzymywana nieco przez Żunię, idzie ku Irenie/

IDA FETT

IDA FETT

/zauważywszy gest Żuni, która ukazała Miłockiej Żmudę, obraca się - stała bowiem tyłem do Żmudy, między biurkiem a stołem - poznaje go mimo, że Żmuda dla nadmiaru światła zasłonił oczy ręką/ Tak skromnie w bitwy ? /ujmuje jego dłoń/

ŻMUDA

/ostrożny jej obcesowością/ A i tak cię znajdą. /całuje/

IDA FETT

- Jak się macie ?

ŻMUDA

- Żywnie. /przechodzi ku Żuni i Miłockiej, które nie zdążyły jeszcze zasypać pytaniami Ireny.- Ida Fett nie skoncentrowała tem bynajmniej, zdejmuje kapelusz i kładzie go na biurku/

ŻUNIA

/do Żuni i Miłockiej/ Witam panie. /skłania się lekko przed nimi, rękę posłał powitalnie Bolińskiemu, który kręcąc ze zwykłą kozią bródkę, podgląda biblijotekę za szczelinami/

MIŁOCKA

- Nareszcie pokazał się pan znów między nami.

ŻUNIA

/trzepotliwie i podchwytliwie/ A czy tęsknił choć troszeczkę ?

ŻMUDA

- I jak jeszcze. Dowodem tu siwizna.

IRENA

/z pewnym niepokojem ale zarazem nie bez zadowolenia kobiecej próżności, obrzuca go badawczem spojrzeniem/

ŻUNIA

/wspinając się na palcach, by obejrzeć owa siwiznę Żmudy/ Nie ! pan sobie ten kosmyk posrebrzył !

ŻMUDA

- Natabene z ognia, żeby było trwalej.

IRENA

/nie przestając się krzątać, poważnie/ Czas to symbolizuje, a ogień się wytli.

ŻMUDA

/dobrodusznie/ Tem też pocieszam się jedynie. /zapuszcza się w rozmowę z Żunia i Miłocka/

IDA FETT

/która wróciwszy do biurka i gestem głowy przyzwawszy Głodniewicza, ogląda nibyto posąg Venus - a gdy przywzwany stanął przy niej, jedną ręką wodzi w powietrzu rzekomo krytykując rzeźbę, a lewą, z otwartą dłonią, mając ją zasłoniętą osobą Głodniewicza - do tegoż półgłosem/ Daj mi klucz od zatrzasku.

GŁODNIEWICZ

/zaskoczony tem/ Po co ?

IDA FETT

- Ciszej ! /obejrzała się nerwowo, prawą ręką ilustrując wciąż rzekomą dyskusję estetyczną/ Zgubiłam swój i nie mogłabym się dostać do pokoju.

GŁODNIEWICZ

- Przygarnę -

IDA FITT

/odmawiając gestem głowy, z dumnem ziewnięciem/ Jestem niezyskalna.

GŁOWIENICZ

- Daję ci słowo, przeniosę się na otomankę.

IDA FITT

/zrób obejrzawszy się niedbale, gestykulując w stronę rzeźby/ Dziś chcę być u siebie.

GŁOWIENICZ

/podejrzliwie/ Tak ? - żałoby...

IDA FITT

- Co ?

GŁOWIENICZ

- Miłość zapewnioną na dziś samotność, oczywiście... względną.

IDA FITT

- Jesteś podły i głupi.

GŁOWIENICZ

- Rozumiem i - nie dam.

IDA FITT

/cofając wyciągniętą po klucz dłoń/ Jak chcesz. Jeszcze stać mię na hotel i nowy zatrzask do drzwi. A że nowego szoku już nie otworzysz - to pewna.

GŁOWIENICZ

/zmieszany groźbą, prośbą i natrętnie/ Duśka, miałbyś sumienie w taki żarem dyszący wieczór, w taką noc rozpachnioną akacjami... Duśka ! /sięga po kluczyk/

IDA FETT

- Nie dziś. /wyciąga znów dłoń - odbiera klucz/ Oddam ci jutro w prosektorjum.

ŻUNIA

/podchodząc z lewej/ Co wy wiecznie jakieś konszachty macie ze sobą ?

GŁODNIEWICZ

/nieco zbyt poufale, akcentując na rzeźbę/ Konszachty ? - Poprostu mała utarczka estetyczna w kwestji anatomji, ale ty się na tem nie rozumiesz. /idzie ku frodkowi, dokąd także Żmuda podchodzi - podczas gdy Kiłocka siada na szezlongu i rozmawia z Soliński, zaś Irena wychodzi na chwilę drzwiami w lewo/

[illegible]

- Jak to dobrze, że pana spotkałam. /witają się/ Właśnie miałam pisać do niego. Powierzony - to jest profesor - zaapelować znowu do pańskiego zdrowia.

GŁODNIEWICZ

/nie bez samochwalstwa/ Litr ? dwa litry ? trzy litry?

IDA FETT

/z sarkazmem/ Najlepiej wszystką.

ŻUNIA

/przerażona/ Co ? znowu transfuzja ? Żmuś, to niepodobieństwo ! /do Żmudy/ Panie profesorze, dopiero mu rumieńce wróciły. /do Głodniewicza/ Ja na to nie pozwolę.

GŁODNIEWICZ

- Daruj Żuniu, ale twoja krew do mnie należy. /do Żmudy/ Po krwotoku ?

ŻWUNA

- Nie, leukemia. Ten sam pacjent.

GŁOWIŃSKI

- Ten sam ?... /zamyśla się/

IRENA

/wraca z lekcji, niosąc ciastka i owoce - i ustawia je na stole jadalnym/

ŻULA

- Smuś, skrzywdzi ? Ja na to nie pozwolę.

IRENA

/pochodząc do Żuni/ Zauważcie, każdemu wolno sobie zaprzeczyć. Zazwyczaj są : ja, ty, oni /skazańcy Ireny/ o to trzeba walczyć. „Nie pozwolę" - to było dobre na polskich wojnach, ale to nie jest argument. Co to jest „nie pozwolę" ? Ciocia może komuś dać krwi, bo on jej kocha, niech on, ojciec z nim to robił. Nie to tego wcale nie uczy. Bo jeżeli to leukemia i raz już nie pomoże...

ŻWUNA

- Naturalnie, że nie pomoże. Smuś, pomyśl, znowu dłuższe; ossis ani ciocia do roki, ani tatuś -

GŁOWIŃSKI

- Tatuś też, Żuniu. Krwią ofiarą swoich ulubieńców przedłużyć komuś życie -

IRENA

- A może chrzcić -

ŻWUNA

ŻMUDA

- Zastrzegam się, że nie może tu być mowy o żadnym nacisku z którejkolwiek strony. Ale doświadczenia choćby ze starożytnym [illegible] krwi wykazały, że dla silnych, tak jak my, bezprzykładnie zdrowych organizmów... /przy ostatnich słowach Żmudy, Irena z ożywieniem jakiś pełnym wyrzutu błysnęła wyrazem oczach, spojrzała na Głodniewicza; spojrzenie to jest krótkie i bardzo dyskretne, zauważone przerwę w krzątaniu się przy stole i chwilę zastanowienia w głąb swych najbardziej ukrytych, półświadomych myśli/

GŁODNIEWICZ

/przerywając Żmudzie w słowie/ Oczywiście. /do Żuni/ Najlepszy dowód, że czuję się, jak tur. /do Żmudy/ Nie przyrzekam jeszcze, ale i nie zrzekam się. Chciałbym jedynie zasięgnąć u profesora pewnej rady, co do... /zniża głos, bierze go pod rękę i zachęca ku drzwiom w głębi,- obaj tymczasem do siebie głośniej odzywają, zajęci żywą rozmową/

MIŁOŃKA

/porzuca Solińskiego, ujawszy Irenę pod rękę, zbliża się do Żuni i Idy Fett/

ŻUNIA

/do Idy Fett/ Na Boga, wyperswadujcie mu to.

IDA FETT

- Czyż nie widzicie, że to kaprys jego próżność. Jego stać na to, żeby kosztem zaprzepaścić jeszcze miesiąc, dwa charłackiego życia. Na to niema rady.

MIŁOŃKA

- Was jednak usłuchałby.

IDA [illegible]TT

- Iza..nie zaskoczyła[illegible]ście te „wie".

KIŁOCKA

- Nie rozumiem...

[illegible]

- I ja nie[illegible]. /przestrzeń pokojami, odchodzi do drzwi i wraca z niej/

ŻUKIA i IDZIA

/obrzucają Kiłocką przelotnym spojrzeniem/

[illegible]

/z rezygnacją/ Widzę, że [illegible] Tobie nie posłucha, boś siostra,- z nią rozmawia się raz na jakiś czas, a z nią ja całym życiem. /poprawiając lekko Żanię/ Idź i [illegible] ją.

ŻUKIA

/wychodzi do pokoju/

IDZIA

- Powiedz mi Julka, czy to...nożyce się odezwały ?

KIŁOCKA

/wzdycha/ Ot, zdawało się jej,- nie kładłam żadnego specjalnego akcentu.

/Z lewej strony JULKA SZALIŃSKA, za nią wsuwa się nieco onieśmielony ŁUCKICKI. Odziana z wyszukaną elegancją, monokl na sznurku, mówi jakby „z łuski", [illegible] głosem i [illegible]/

S c e n a 6.

MIŁOCKA

- No, jesteście. /idzie ku przybyłym/

CZALSKA

/rzuciwszy w przelocie całusa Miłockiej, dopada Ireny/ Irka, Irka, niech cię uściskam. Victoria ! Ja miałam pełne obawy - tymczasem sukces na całej linji, niebywały, bajeczny !

IRENA

- Nietyle mój, co wielkiej idei rzuconej śmiało i szczerze.

/Podczas gdy obie rozmawiają na przodzie, MIŁOCKA przywitała się i zamieniła kilka słów ze Żłobickim. Równocześnie Żmuda i Głodniewicz opuścili swoje stanowisko we drzwiach ogrodu i rozmawiając, zaczęli przechadzać się między drzwiami a stołem. Gdy podeszli do Miłockiej i Żłobickiego, którzy przesunęli się nieco ku środkowi, Głodniewicz wita się ze Żłobickim, poczem przedstawia go Żmudzie.- Korzystając z tego, Miłocka nawiązuje rozmowę z podpierającym wciąż bibljotekę Solińskim i po kilku słowach, łączy się z wracającymi z orangerji Żunią i Ide Fett.- Żmuda zamienia kilka słów ze Żłobickim, który poglądnął wraz ku Irenie, pragnąc powitać w niej panią domu.- Głodniewicz zostawiony sam sobie, łączy się z Miłocką, Idą Fett i Żunią/

CZALSKA

- To właśnie podbiło audytorjum. Słuchano cię z zapartym oddechem. Oczywiście oziębice czuwa il faut

zaczną cię szkalować, na to bądź przygotowaną. Ale gwiżdżaj na to, na całą tę gęsiarnię. W oczach wszystkich myślących,od narybku do osiwiałych w boju przodowniczek, czytałam aprobatę naszego stanowiska. I nietylko u nich, u wszystkich. Dość powiedzieć, że nawet ten latający Holender... /wskazuje na Żłobickiego,- on to zauważył i jeszcze odpowiadając coś żartobliwie, pragnie widocznie ominąć, by się przypatrzyć z bliska/

[illegible]

/nieco ciszej/ Tyś go przyprowadziła ?

[illegible]

- Sam się zaprosił. A tak się pilnował, że wstępując po drodze do jakiegoś sklepu, kazał mi na siebie czekać.

[illegible]

- Żmij fajon,- nie wiem dlaczego, ale mam do niego uprzedzenie, przeczuwam, że przyjdzie się nie.

[illegible]

- Zmilcz no to coś.- dla Żeni. Leci na niego. Dla niej był na twoim odczycie.

[illegible]

- Tak ? - Stoi się, przecież go nie wyrzucę. /idzie ku niemu.- Żłobicki z gestem „przepraszam", zostawia Żenię swego i podchodzi ku Irenie.- Szkarłatna idzie w przód ku pianinu, złożyć na nim kapelusz i rękawiczki,- po drodze wita się ze Żenią i zagaszcza w rozmowę podczas której przechodzą oboje do biurka.

Grupa Miłockiej, Idy Fett i Głowniewicza,- od której odzieliła się Żunia i przystanęła koło pianina - zeszła ze schodów i stoi za stołem,- Soliński w dalszym ciągu podpiera szafę bibljoteczną/

IRENA

/do Żabickiego/ Słyszę, że i z pana takim szuhaczem. Pierwszy raz widzę najmyk pan do naszego Babina.

ŻŁOBICKI

/z grzeczną złośliwością/ Przeciwnie pani, jestem w nim jak w operetce stałym bywalcem i ja to raczej mógłbym o pani powiedzieć, że ja tam rzadko widuję. Tem większa dla mnie strata po jej dzisiejszem plaidoyer. /zakładając monokl i przypatrując się jej nieco impertynencko/ Kapitalny. Posłałem już o nim telegraficzne sprawozdanie do... Marcela Prevost.

IRENA

/zrozumiawszy docinek,z oczywistem pogardą/ Tak ? - a za to należy się panu conajmniej kolacyjka. /giestem obejmując wszystkich obecnych/ Hej, ludzie, nie jesteście jeszcze głodni ? bo ja djabelnie. /z giestem ku szafie bibljotecznej,z tartynkami i winem/ Dla spirytystów - bibljoteka. Ida, zechciejcie się wyręczyć w tym dziele i sami dajcie przykładem. /Głowniewicz, Ida Fett, Żłobicki i Soliński piją i zakąsują/ Żunaka, przestań krakać,- najpierw granity, potem tęcze. /do Miłockiej, która nie pije/ Jadzia, przynajmniej ty nie każ się prosić,- siadajcie. /zwracając się i krokiem, dwoma podchodząc ku biurku,

gdzie już zasiedli Szałwińska i Żmuda/ A ty, Julka, wolisz z profesorem przy kaceutiszu ? /wobec jej gestu/ Ależ siedź, oczywiście, tylko już zaopiekuj się nim należycie. Zaraz dam wam talerze. /idzie do stołu, nakłada dla nich/

ŻŁOBICKI

/z tartynią i kieliszkiem na talerzyku, podchodzi do stołu, do którego zasiadła Żmuda/ A „to-to" nie napije się z nami ?

ŻMUDA

/z miłym dąsem/ Bardzo mi miło, że pan zauważył.

ŻŁOBICKI

- Mówię tylko o tem, żeby się z panią trącić. „To-to" jest dzisiaj urocze. Trąćmy się. /podaje jej/

ŻMUDA

- A pański kieliszek ?

ŻŁOBICKI

/z wyrzutem zdziwienia/ Kieliszkiem ?... /idzie do bibljotki i wraca niosąc karafinkę z wódką.- wszyscy prócz Ireny siedli już przy stole/

SZAŁWIŃSKA

/do Żmudy, przy kieliszku/ Nasz pan żałuje, świetnie go opracowała. Bo też i trunek wyjątkowy. Pozornie zniewieściały, ale w ustach kobiety, jakże rozległy, bezdenny, otchłanny ! Ileż mieści się w tych kilku wyrazach: „Jem prawo być matką".

ŻMUDA

/zbliża się do nich z talerzami/

ŻMUDA

/nie widząc jej, stoi bowiem jeszcze obrócony do niej plecami/ To było treścią odczytu ?

SZAŁWIŃSKA

- Taki był tytuł. Treść olbrzymia, wieczna, bezmała jak dzieje ludzkości.

IRENA

/za plecami Żmudy, dając jej znaki, żeby nie rozgadywała się zanadto/ Uprasza się nie mówić o stryczku w domu powieszonego.- Profesorze, wódeczki.

ŻMUDA

/obrócił się, odebrał swój talerz/ Ma jeszcze coś pisać w nocy,- dziękuję.

IRENA

/wraca do stołu/

ŻMUDA

/do Szałwińskiej siadając po jej lewej ręce/ Proszę, niech pani kończy. Bardzo mię to interesuje.

SZAŁWIŃSKA

- Naprzód podała prelegentka rys historyczny stanowiska kobiety w ogólności a więc: życie w gromadzie, Lubbokowski matrjarchat... /rozmawiają dalej,- Żmuda słucha jej z attencją, ale równocześnie strzyże wciąż uchem w stronę głównego stołu/

IDA FETT

/do Żłobickiego nieco podrażnionym głosem/ Widzę, niebardzo się na tem znacie choć za kulisami było po temu sposobność. Spróbujcie czy nie tam szkła.

/dotknąwszy kolczyka w uchu/ Mam go wyjąć ?

ŻŁOBICKI

/z gestem „uchowaj Boże"/ A, jesteście bądźcobądź kobietą a ja z nimi zawsze na wierę.

ŻUNIA

- Zasługujemy na nią podczas gdy wam wszystkim na imię: niewierny Tomasz.

ŻŁOBICKI

/wyszukując jej naiwność/ Dopóki nam nie pozwolą złożyć pióra.

/Głodniewicz siedząc obok daje mu skrycie szturchańca,- Żuda posłał groźne spojrzenie/

IRENA

- Jednak od prawdziwych, bolesnych ran trzymacie je zdaleka, och i jak zdaleka ! Wy ich nawet widzieć nie raczycie.

ŻŁOBICKI

- Asceptyka przedewszystkim a nasze nieczyste spojrzenia... /to mówiąc „zapuszcza żórawia" za gors Żuni, która ciepnęła rękę/

IRENA

- Żydzi ustają z kwitkiem, u których tylko żart na ustach. Ironia i ignorancja to wasza metoda w stosunku do nas, do naszych dążeń, naszych ideałów, naszych zmagań się z ociężałością i bezładem przesądu o rzekomej niższości kobiety. A jednak głód nie bratnią życia - /widząc, że Żłobicki chciał zapalić papierosa, ale mu go Głodniewicz wyrwał, niemiłosiernie/ papierosy na biurku, zaraz

będzie czarna kawa - /podnosi się, naciska gruszkę dzwonka nad stołem/ głowy jego ciężar zwalił się na nas. Jeżeli - choć to jeszcze pytanie - trudzicie się więcej od nas, to ten znój i mozół osładza wam rozkosz tworzenia nowych wartości życia i nowych jego form.

/Podczas następnej utarczki między Idą Fett i Żłobickim toczy się niema scena między Ireną a Kasią, która zaraz po dzwonku weszła z lewej niosąc na tacy maszynkę do kawy i dwie butelki szampana. Kiedy stawia maszynkę na stole Irena gestem zdziwienia pyta ją, skąd wzięła szampana ? Kasia stojąc za plecami Żłobickiego objaśnia, że to jego sprawka. Irena hamuje oburzenie i każe jej flaszki zabrać z powrotem. Zanim jednak Kasia zrozumiała ten jej niemy rozkaz siedząca obok Żłobickiego Żunia sięga po jedną butelkę i z potrząśnięciem głowy „ho-ho" stawia ją na stole, co widząc Kasia stawia drugą na stole i wychodzi w lewo/

IDA FETT

/wpadając/ Form ? - za pozwoleniem, to ciężka lipa. Nowych form ? - te tworzymy właśnie my !

ŻŁOBICKI

- No, z naszym łaskawym współudziałem, za co niech będzie chwała Allahowi.

IDA FETT

- Z was jak szydło z worka wyłazi zawsze hedonizm.

ŻŁOBICKI

- „To-to" słyszało, co ze mnie wyłazi ?

IDA FETT

- Tak jest,- hedonizm !

ŻŁOBICKI

- Czyż wy go nie uznajecie ?

IDA FETT

- O ile pamiętam, tom się wam nie zwierzała.

ŻŁOBICKI

/rycersko-grzecznie [illegible] zgoła złośliwość/ Niestety.- Ale wracając z teorji o cierpkiej losie kwiatów, ciężkim dlatego, że ich nie uszczknięto... Ale może teorja ta nie jest waszą ?

[illegible]

/do Żłobickiego/ Czy mogłabym prosić o prowadzenie dyskusji bez osobistych wycieczek ? /do Idy Fett/ Z waszych ust padło słowo, którego dawno szukałam. Hedonizm - oto jest punkt widzenia mężczyzny i zasadnicze jego stanowisko. Trzymajcież sobie na niem i męczcie się, skoro chcecie, ale nie zagradzajcie nam drogi do wyższych, idealnych celów. Bądźcie - skoro tak być musi - twórcami w dziedzinie materji; my nawet za cenę pewnego upośledzenia sięgniemy poza nią. Niech nasze krzepciejsze a może tylko brutalniejsze ramiona borykają się z oporną materją,- dla nas pozostaje subtelna materja: z oporu jej wysublimowany duch !

ŻŁOBICKI

/trącając się z Żanią najwidoczniej tymczasem dla niej i dla siebie kwiatkiem/ „To-to" słyszało ? - duch czyli spirytus.

/Żmuda posyła mu znów podrażnione spojrzenie/

MIŁOCKA

- Tak jest, nasze dziedzictwo duch !

/krótka pauza/

SOLIŃSKI

- Pani dziwnie rozdziela te dwa światy.

IRENA

- Widział pan syntezę bez analizy ? Zanim dojdziecie do nierozdzielne jesteśmy dopiero w stanie odkryć i określić wzajemny stosunek składników i rolę każdego z nich. Otóż dzięki wam - temu nie myśli nikt przeczyć - biorę z nas początek nowe pokolenia, ale istota ich, ich ostateczna treść, krótko mówiąc: dusza - nie w waszej jest mocy !

IDA FELT

- I od niej, panowie, hands off !

IRENA

/zapalając się/ Rozterczycielami gliny jesteście wy, ale myśmy jej rzeźbiarkami !

MIŁOCKA, ŻMUDA i CZAPLIŃSKA /od biurka/

- Brawo, brawo !

IRENA

- Co my z niej ulepimy tego wy dopiero jesteście względnie będziecie. W tej sytuacji ducha nie każdej dano być Michałem Aniołem czy Rodinem, ale każdą z nas stać na to, aby panować nad materią, jak artysta hojny, szczery i przedewszystkim wolny !

/do Żłobickiego/ [illegible] Oto zwierza pański uśmieszek. Nasze dążenia racjonalizacja - jak to szlachetnie! - ochrzcić mianem „wolnej miłości", aby je ośmieszyć i oplwać. Nakleiwszy etykietkę „trucizna" tuszycie, że nikt jej nie tknie! Lecz my tak ułomadniamy, że nawet przez Golgotę na wasz sposób pojętej wolnej miłości pójdziemy nieustraszone sięgnąć po wolność pojętą na nasz sposób,- wolność kształtowania od kiełka nowych, czystych, nieskażonych dusz!

SZALIŃSKA

/porwana rysową Ireny porzuciła Żmudę i podeszła do głównego stołu/ I tej wolności nie dacy wam sobie odebrać.

KILOCKA

- Nigdy,- to sobie zapamiętajcie: nigdy!

ŚLOMIOKI

/wznosząc kieliszek/ Vivat vita!

/sekunda milczenia/

SOLIŃSKI

/który kręcąc krótką pilnie słuchał Ireny/ Wszystko to fizycznie piękne ale...

SZALIŃSKA

- Tu nie ma żadnych: ale.

SOLIŃSKI

- Obawiam się nauczyć...

SZALIŃSKA

- Kiedy?

SOLIŃSKI

- Cel kobiety został dziś przez szanowną prelegentkę bardzo szlachetnie postawiony ale... in abstracto. Gdy bowiem zapytamy o sposób osiągnięcia tego celu...

GŁODNIEWICZ

- Trafimy na sęk.

ŻŁOBICKI

- Proszę cię, bądź przyzwoity.

IRENA

/do Solińskiego/ O co panu chodzi ?

SOLIŃSKI

/zakłopotany/ Hm, jakżeby to powiedzieć...

ŻUNIA

/podniosła się już przed chwilą i przeszła ku pianinu/

ŻŁOBICKI

/do Solińskiego/ Panu zdaje się chodzi o sposób, o modus procedendi ? - Bardzo prosty: nie wierzy się gębie i kładzie na zębie.

/Głodniewicz ledwo może wstrzymać się od parsknięcia śmiechem,- Ida Fett machnęła ręką lekceważąco - Irena, Miłocka i Dzikowska nie wiedzą gdzie oczy podziać,- Soliński z obrzydzeniem spojrzał na Żłobickiego z ukosa i kręci dalej swą bródkę/

ŻMUDA

/drżącym z oburzenia głosem/ A ma pan przysłowie: nie licz na zęby, bo nie obronią gęby ?

ŻŁOBICKI

/chce się zerwać, lecz siłą przed Głodniewicza ustrzymuje siłą,- zaczerwienił się ale momentalnie opanował,- wraca do swego zwykłego tonu, nie bez chęci wytknięcia Żmudzie jego chłopskiego pochodzenia/ Kapitalne.- Z pewnością chłopskie.

ŻMUDA

/narazie lecz już spokojnie/ Ale nie chamskie. /zagala pyleresa/

/Chwila milczenia i ciszy przed burzą, którą zapowiada Żmuda wzięciem kilku akordów na pianinie, po których zaczyna grać menuet Paderewskiego. Zrazu wszyscy milkną, po kilku taktach Żłobicki podchodzi do pianina, opiera się o nie i słucha,- reszta przy stole rozmawia półgłosem. O czem toczy się rozmowa ? nie słychać ale słychać jej pogwar. Po przegraniu pierwszej części z kuntylena, Żmuda plącze się i przestaje grać/

ŻMUDA

- Z pomiłuj jak dalej idzie - darujcie.

GŁODNIEWICZ

- Zabydź się,- bo mi pianistka.

ŻŁOBICKI

- A może „te-te" pamięta który preiud Chopina ?

MIŁOCKA

- Organowy, organowy, moja złota.

ŻMUDA

/próbuje preludu/

MIŁOCKA

- Ten, ten. Ileś z nie wyżłtey i ubojeni.

/Z oddali w ogrodzie rozjaśnia się światłem księżyca. Żunia gra uroczyście, Miłocka słucha z najwyższą uwagą,- Głodniewicz szepce coś z Idą Fett,- Irena zapuszcza się z Solińskim w ożywioną rozmowę.- Żłobicki korzystając z tego podchodzi do biurka, bierze z niego papierosa, i nib, zapalając go /zapałka mu gaśnie/ mówi do Żmudy/

ŻŁOBICKI

- Pan mi za to odpowiesz.

ŻMUDA

/nie spojrzawszy na niego sięga ręką do tylnej kieszeni spodni i słucha muzyki/

ŻŁOBICKI

/pochylając się nieco ku niemu, dobitniej/ A może pan zasadniczo nie odpowiada za swoje...

ŻMUDA

/spojrzał na niego,- korzystając że jest jego osoba przed obecnymi zasłonięty, wyciąga rewolwer, z kamiennym spokojem/ Jak komu -

ŻŁOBICKI

/szybkim ruchem sięga po monokl/

ŻMUDA

/w mniemaniu, że grozi mu policzek równie szybko mierzy mu w pierś/

ŻŁOBICKI

- Ha-ha-ha ! /śmiejąc się cicho, zakłada monokl i

przyglada mu się bezczelnie/

SZAŁWIŃSKA

/która od stołu dostrzegła z tego coś niecoś, podchodzi ku nim. Żmuda chowa rewolwer/ Prawda, jakie to cudne.

ŻŁOBICKI

/po ruchu głowy i zachowaniu się Żmudy domyślił się, że się ktoś zbliża, odwraca się szybko/ O tak, pani ma rację. To jest nudziarz i nikczemnik.

/Chwilę jeszcze rozbrzmiewają akordy preludiu, którym grupa przy biurku dosłuchuje z zupełnym milczeniem, podczas gdy toczy się dotąd półgłosem między Irmą i Żmudą rozmowa nabiera coraz żywszej gestykulacji, tempa i tonu kontrowersji i występuje jasno z chwilą zamilknięcia akordów fuzi/

IRENA

/do pochylonego/ Ach tak ? - tu-m was czekała ! Więc w rezultacie ostatnim waszym argumentem jest ta łyżka strawy i ten dach nad głową ? Jakie to ohydne ! Otóż - słyszy pan ? - my tej łyżki strawy od was nie chcemy, my tego dachu nie szukamy, na szczęście nas nie weźmiecie ! /Żmuda, Miłocka, Żłobicki podchodzą do głównego stołu wraz z Szałwińską i Głodniewiczem /który się podniósł/, obstępują dyskutujących i przysłuchują się uważnie.- Żmuda spojrzał na zegarek, zgasił papierosa, z portfelu dobył bilet i przełożył go do kieszonki kamizelki, wstał, poprawił na sobie ubranie jak czyni się przed odejściem i z chęcią pożegnania towarzystwa, stoi z kolei słuchaczy. Podał rękę Głodniewiczowi, Miłockiej i Szałwińskiej,- Idzie Fett skłonił się głowę zdaleka i wyczekuje na chwilę pauzy

w dyskusji, aby móc pożegnać Irenę. Szałwińska widzi to i radaby zwrócić na to uwagę Ireny, lecz jeszcze wstrzymuje się od przerwania jej słów/ Damy sobie radę sami ! Ażeby dopiąć swego, ażeby spełnić posłannictwo kobiety tak, jak ja je rozumiem, stajemy do życia z zakasanymi rękoma i prędzej później zrzucimy hańbiące nas jarzmo ! Pan myśli, że dla zadowolenia próżności zrobiłam doktorat ? /wskazując na Ide Fett/, że ona wdycha w prosektorjum trupie jady a Żunka traci w aptecznych wyziewach anielską słodycz swej dziecięcej twarzyczki po to jedynie, ażeby się wkupić w wasze względy? lepiej sprzedać ? Czyżbyście i wy robili to z tylko celu a nie z wyższych pobudek ? Nie odmawiajcie nam człowieczeństwa !! A jeżeli chodzi o przekroczenie tego - jak go pan nazwał - Rubikonu, choćbyśmy ryzykowały więcej niż zaryzykował Cezar, bo prócz życia i sławę, to my go prze-kro-czy-my ! /Szałwińska trzyma ją - Irena niezdolna urwać wywodów odrazu, jeszcze do Solińskiego ale już podając rękę Żmudzie/ Tak jest, my go...

ŻMUDA

/trzymając jej dłoń, suggestywnie/ Nie przekroczymy.

IRENA

/wyrywając rękę, w najwyższem podrażnieniu, z ironją/ Czy dlatego „nie", że pan przez niego nie przerzuci mostu ?

ŻMUDA

- Dlatego, że nad swym brzegiem stoimy.

IRENA

IRENA

- Jest pan tego absolutnie pewny ?

ŻMUDA

/unikając prowokacji, przyjaznym tonem/ Odpowie mi pani na jedno małe pytanie ?

IRENA

/krótko, twardo, dumnie/ Słucham.

ŻMUDA

/j.w./ Pani posługuje się psychologią... Czy z dotychczasowych jej danych można już bardziej równania zdolne choć w przybliżeniu ustalić nieznane ?

/Soliński pokręcając brodą, wykonuje coś pokątnie, przez co ściąga uwagę Żuni, Kłockiej i Głowniewicza - Ida Fett i Szałwiński bacznej uwagi na kontrowersji Ireny ze Żmudą. Łabiński nieco w lewo za stołem bawi się na uboczu/

IRENA

- Do czego to zmierza ?

ŻMUDA

/cicho i łagodnie/ Może czy nie może ?

IRENA

- Nie.

ŻMUDA

- W dyskutowanej tu tak gorąco kwestii jest obok wiele, wielu innych, tak ściśle ze sobą nierozerwalnie. Zresztą - sercem.

IRENA

IRENA

/z pewnem rozczarowaniem w głosie/ Z tej beczki zaczynamy.

IDA FETT

/machnawszy ręką/ Już dawno myszką trąci. /odciąga Szałwińską ku grupie zagadanej z Bolińskim/

ŻMUDA

/do Idy Fett/ Jak dla kogo. /do Ireny/ Tej niewiadomej, tego „mięsnie" nie zakajesz w kuchni tajniejszej żonglerskich sylogizmów. I to, tu, nie gdzieindziej jest Rubikon. Na pani pewność, że w Oi nie utoniesz ?

IRENA

- Niema zwycięstw bez ofiar. Trzeba będzie dać krew - dam krew !

ŻMUDA

/ujął jej zapałem, ze współczuciem/ Łyczeństwo się pani marzy... Rozumiem. To piękny sen. Niech go więc pani śni, ale... tylko śni. /wyciąga dłoń/ Dobranoc.

IRENA

/nie podając mu swojej, podrażniona/ To jest ta - niegdyś - pańska wiara we mnie ?

ŻMUDA

- To jest obecna moja wiara w to wszystko, co w pani drzemie nieświadome. /kłania się jej, do zagadanych przy stole/ Dobranoc, och, nie przerywajcie sobie, proszę. /żegna ich gestem i zmierza ku drzwiom w lewo/

IRENA

IRENA

/stoi bez ruchu, podrażniona i zadumana/

/Reszta giestem tylko odpowiedziawszy na gest Żmudy, rozmawia żywo ze Solińskim/

ŻŁOBICKI

/doganiając Żmudę blisko drzwi/ Za pozwoleniem,- słó-
[illegible]...

ŻMUDA

/nieledwo przez ramię podając mu bilet/ Bywam w domu codziennie między drugą a czwartą. /wychodzi/

ŻŁOBICKI

/żywo schował bilet, zawraca ku stołu/

S c e n a 7.

IDA MITT

/zaledwo Żmuda zniknął za drzwiami/ Toż-to zarozumiała sztuka.

HALOCKA

- Profesorskie kazanko.

ŻŁOBICKI

- Patrzcie, za Jezioci nas wa.

ŻŁOBICKI

/przekomarzając się z nią/ I ubrał nas nosiećka.

ŻAWIŁŁA

/która nie spuszczała oczu z Ireny, podczas jej rozmowy ze Żmudą, a od chwili zamilkła ją badawczo/ Irko, no, Irko ! /podchodzi do niej/

IRENA

IRENA

/automatycznie/ Co takiego ?

SZALWIŃSKA

- Nic sobie z niego nie rób.

IRENA

/upatruje się w nią,- reprodukując z pamięci tę jej radę, którą właściwie przesłyszała - z jakimś tajemniczym, szatańskim uśmieszkiem/ Właśnie... nad tem... przemyślam -

SZALWIŃSKA

- Nad czem ?

IRENA

/chwytając ją silnie za ramię/ Ależ jacta, Julko !

SZALWIŃSKA

- Tak cię to ubodło ?

IRENA

- Słuchaj, czy człowiek, którego czyn nie idzie za jego wiarą czy przekonaniem, jest szmatą czy nie jest?

SZALWIŃSKA

- Absolutnie jest.

IRENA

/gorąco/ Dziękuję. /wracając do normy, wesoło/ Siadajcie, maszynka pełna mokki.

ZBYSZKO

/który tymczasem otworzył z trzaskiem korek butelki szampana/ Na frasunek lepszy trunek.

ŻUKA

/dziecinnie/ Mnie, mnie szampana !

SOLOMIEWICZ

/z pustą szklanką intonując na zrany nutę/

Dalej bracia w górę szklanki
Każdy zdrowie swej bogdanki -

ŚŁOBICKI

Bo przy szklance i kochance
Źródło mija czas /dotrzymuje/

ADELA

/zatykając uszy/ Aj-oj, uszy więdną.

ŚŁOBICKI

/rozśmiesza/ Bo przy szklance...

IDA FETT

- Cicho, cicho. /wskazując na drzwi z lewa/ porządni ludzie śpią już o tej porze. I dlatego proponuję: chodźmy na muzykę.

SOLOMIEWICZ

- Pycha, chodźmy na muzykę - ale gdzie ?

IDA FETT

- W Akademii jest wyborny kwartet. Brzydce !.../całuje palce z zachwytu/

ŚŁOBICKI

/naśladując jej gest/ A cymbały !

BILSKI

/z tajemniczością/ Mój panowie ? /przytknął/ Chodźmy zabawy.

/Zaczynają wkładać kapelusze i rękawiczki/

ŚŁOBICKI

ŻŁOBICKI

/poczuwszy się w swoim żywiole, improwizując słowa i melodję/ Do Alhambry, do Alhambry
Kawiarnianej łykać ambry
Piąć i trefle incarnat -
Paniom lody, nam czarne !

IRA FATT

- Zbierajmy się zatem. /do Ireny/ Pójdziecie ?

IRENA

- Co ? - ach, do Alhambry. Czy ja wiem...

IRA FATT

- Ale chodźcie.

[illegible]

- Dobrze ci zrobi powietrze.

IRENA

/z nagłą jakąś myślą/ Masz rację.- Ale chyba za chwilę dopiero.

ŻŁOBICKI

- Wiwat polska jednomyślność.

[illegible]

/z wyrzutem i prośbą/ Irko !

IRENA

- Pójdę, tylko trochę tu posiedzę. Nie znosi takiego rozgardjaszu. Jeden z panów /nagle do Głodnieńskiego/ poświęci się pan dla mnie ?

[illegible]

- Dla pani ? - w ogień.

IRENA

IRENA

/ze zgubionym uśmieszkiem/ Tym lepiej. Zatem za jakieś pół godziny.

IDA TETT

- Będziemy pod trzecią arkadą po lewej stronie.

ŻELOBICKI

- W Arkadji z lewej ręki.

[illegible]

/do Ireny/ Czekam.

IRENA

- Ależ tak,- chyba, że... zaszło coś nadzwyczajnego.

[illegible]

/idąc ku drzwiom z lewej/ Tymczasem ...

NOWIA

/z palcem na ustach/ Tss, prokurator,- cicho. /otwiera drzwi/

ŻELOBICKI

- Still Kinder !

NOWIA

- Cicho !

ŻELOBICKI

- A najwięcej „ta-ta" bałamuci.

/na palcach skradają się, wychodzą - wśród gestów pożegnania ku Irenie i Ogrodniczkowi/

S c e n a 8.

IRENA

IRENA

/stojąc w progu drzwi ogrodowych i ochłodzając się dłonią, poi się nocnym chłodem/

GŁODNIEWICZ

/podchodzi ku niej/ „Nareszcie sami" możnaby powiedzieć z poetą. /staje również w drzwiach ogrodu/

IRENA

/nie bez oziębłej się w głosie ironii/ Spostrzegł pan rzecz równie głęboką, jak trafną. /spogląda po gwiazdach/ Ach, jakie to niebo dziś wyjątkowo! Wydaje się, że nic więcej nie trzeba, jak tylko tego nieba, aby byłoby rajem.

GŁODNIEWICZ

/spojrzawszy w niebo/ To jutro pewno pogoda. Ależ to jak piękna czerwcowa pogoda, prawda?

IRENA

/wpatrzona w niebo, milczy. Pauza/

GŁODNIEWICZ

- No tak... /po chwili z gestem w stronę stołu/ A z tem tu uwinięmy się raz, dwa.../idzie żywo ku jadalnemu stołowi/

IRENA

/idąc w ślad za nim/ Ach, gdzieżbym chciała pana trudzić. To może poczekać do jutra,- słabiej przekąsza. Chciałam poprostu odpocząć. /idzie ku ławce na prawo/ Siadajmy, dobra i chwila.

GŁODNIEWICZ

/siadając obok/ Każda coś nowego przynosi. /pauza/

IRENA

- A może szampana ? szkoda, żeby się zmarnował.

GLOMIENICZ

/bierze podniszczone przez Łobickiego butelkę/ Niepotrzebnie ją otworzył. /chce jej całć/

IRENA

/zasłania zakrywając szklankę/ Nie, nie, - nie lubię zabłoconych pocałunków.

GLOMIENICZ

- Ja żadnych nie gardzę.

IRENA

- Więc masz pan pije.

GLOMIENICZ

- Co ? - Tego nie umiem.- Ale, choć troszeczkę, bylebym ucałował, jak kwiatek, no, dla mego towarzystwa...

IRENA

- Koniecznie ? - Niech i tak będzie,- połóweczkę.

GLOMIENICZ

/całuje ją i mówi,i trzęsie się/ Fuuuj ! /pije, krzywiąc/ Tfuuu diabli, djabli, djabli.

IRENA

/kaszle różnie/

GLOMIENICZ

- Całkiem dobry, prawda ?

IRENA

- Taki sobie.

GŁOWNIEWICZ

- Niezły, niezły. /pauza/ Pani wspominała dziś o moim championacie. Zajmuje to panią ? - Pani musi dobrze jeździć konno,- myślę; u siebie na wsi. A innych sportów pani nie uprawia ? /IRENA zaprzecza głową/ Nie ? to szczególne, że pani ma w sobie coś z Amazonek, coś z Amazonek...

IRENA

/z odcieniem szelmostwa w głosie/ O tak, coś z Amazonek mam w sobie, może nawet coś z ich obyczajów.

GŁOWNIEWICZ

- Z ich obyczajów ? Co pani ma na myśli ?

IRENA

- Opis Herodota.

GŁOWNIEWICZ

- Nie byłem nigdy mólem książkowym. Ale powetujemy to sobie. Zaintrygowała mię pani tak, że muszę...

IRENA

- Nie, niech pan tego nie czyni.

GŁOWNIEWICZ

- Tamak ? A, tembardziej muszę. Czyj to opis ? czyj ?

IRENA

- Już poleciało. Niech pan tych bzdur zaniecha. /kładzie mu rękę na dłoni/ Ja proszę, dobrze ?

GŁOWNIEWICZ

/istotnie zdziwiony i zaintrygowany/ Ależ dobrze, dobrze.../spojrzawszy na nią uważniej/ Pani jest jakaś naprawdę zmęczona.

IRENA

- Czy się boi.

GŁODNIEWICZ

/spojrzawszy w światło żyrandola/ Nic dziwnego, po 50 świec każda, a może więcej ?

IRENA

- Ktoś pod wyrobaje. /zapala małą lampkę na biurku przed sobą/ kontakt na futrynie. /wskazała mu. Głodniewicz gasi żyrandol, ściemnia się nagle, tem silniej świeci ogród w miesięcznej poświacie i smuga światła wpadająca z oranżerji pod podpiętą portjerą/ Dziś pełnia. Lubię, kiedy księżyc wpada aż tutaj. Każdy sprzęt nabiera wtedy innego wyrazu - /wstaje i zatrzymuje się wpadze światła przed oranżerją/ Staje się czemś nowem, tajemniczem i nieznanem, a moja sypialnia zamienia się wtedy w bajkę z opalu. Niech pan tu stanie przy mnie i popatrzy. Czyż to nie bajka?

GŁODNIEWICZ

/stanowszy przy niej/ I istna grota rusałczana, błękitna grota.

IRENA

- Podrapała Czyni, aby móc marzyć ? W każdej tęczującej szybie tysiące brylantów i gwiazd, wszędzie złote niże, niebkie i zalesne... A tam, widzi pan tę palmę ? /odsuwa to, podnosi rękę jednostronnie podpiętą portjerę tak,że gdy ją puści,portjera opada i zasłania cały otwór arkady, pogrążając obojo w mroku/ O, tę tam, z palmowemi liśćmi ? Kładąc się spać, mam ją za głową i kiedy światło zgasnę, zdaje mi się, że mi jakieś dobre, przyjazne ręce na sen błogosławią.

Co wieczór posyłam jej całusa za to, żeb czuwa nademną, że nie czuję się tak samą, tak nieznośnie samą.

GŁOWNIEWICZ

- Więc i pani nie obca męka samotności w taką rozpachniałą akacjami, żarem dyszącą noc ? Więc i pani zna tę pustkę dookoła i pulsujące skronie na rozpalonych poduszkach ?...

IRENA

/swobodnie/ Naturalnie, i jak jeszcze -

GŁOWNIEWICZ

/stopniowo przechodząc w szept/ Ach te wieki sekund odmierzane pluskiem krwi w tętnach, ta słabość, co jest nieomal fizycznem cierpieniem... A więc pani to zna ! odczuwa ? /nagle chwyta jej ręce, tak,że portjera opada/ Panno Ireno, panno Ireno, panno Ireno ! /okrywa jej dłonie pocałunkami/

IRENA

- Aj, moje palce ! - Jakiż pan silny.

GŁOWNIEWICZ

/puścił jej palce i błyskawicznym ruchem ujął za ręce powyżej stawu garstkowego, pokrywa je najprzód w otwarte dłonie, potem kolejno i najrzęsiej bliżej łokci, ramion i szyji,- namiętnie i gorączkowo/ Panno Ireno,- panno Ireno - złota, cudna, słodka, ty raju - ty maju - ty wiosno!

IRENA

/oszołomiona pozwala mu te pocałunki, gdy jednak usta jego poczuła nieledwie na swoich, wymyka mu się i ucieka na pokój/ Nie, nie, nie !

GŁOWIŃSKI

/przytomniejąc, ale nieomal bez tchu/ Ja... ja prze-[illegible],-... ja panią bardzo przepraszam.

IRENA

/świadoma swojej przeważnie winy/ Niech się pan uspokoi. /zaczyna chodzić - pauza/

GŁOWIŃSKI

- Jak pani wiadomo w tej chwili [illegible].

IRENA

/przystając/ Ja - panem ?

GŁOWIŃSKI

- Niech mnie pani wypoliczkuje.

IRENA

/lekko wzruszywszy ramionami, zaczyna znów chodzić po pokoju - pauza/

GŁOWIŃSKI

- Proszę,- niech mnie pani wypoliczkuje. /pauza/

IRENA

/nagle i żywo podchodząc i stając przed nim/ Gotów pan dać swą cześć ?

GŁOWIŃSKI

- Tylko to może dać pani satysfakcje, a mnie zrehabilitować w jej oczach.

IRENA

/z [illegible] zmęczeniem/ Dla mojej ambicji ? Dla tak błahego celu, to co jest dla mężczyzny [illegible] ?

GŁODNIEWICZ

/pochyla głowę i rozkłada ręce/

IRENA

/ujmując jego dłoń/ Dziękuję panu.

GŁODNIEWICZ

/łagodnie, uwalniając swą dłoń/ Niech mnie pani nie upokarza,- więcej już nie można.

IRENA

/upartym,pewnym głosem/ Pan mnie źle zrozumiał. [illegible] chwili mam dla niego tylko wdzięczność.

GŁODNIEWICZ

- Dla mnie ? za co ?

IRENA

/znów z pewnem zmyśleniem/ Za naukę, że niema pół drogi i pół-środków. Albo - albo... /trzeźwo zmyślenie, zupełnie trzeźwo/ A teraz niech mi pan pozwoli - o tem z przed chwili nie mówmy - czy ja podobam się panu, a raczej czym się panu kiedykolwiek podobałam ? /wobec jego gestu/ Powtarzam: o tem z przed chwili zapomnijmy, tego wcale nie było.- Więc ? /po krótkiej pauzie/ Przepraszam za niedyskrecję, a panu dziękuję za jego delikatność.

GŁODNIEWICZ

- Ależ pani, panno Ireno... doprawdy, że...

IRENA

- Owszem to miłe było dlatego, że [illegible]. Zatem nie podobam się panu, to dobrze, pan nie wie, jak to dobrze.../zaczyna znów chodzić po pokoju/

GŁOWACKI

/wodząc za nią oczyma - półgłosem/ Zawsze i wszędzie ten sam tajemniczy i nieodgadniony sfinks.

IRENA

/po sekundzie/ Czy mówił pan co do mnie ?

GŁOWACKI

/spogląda w oczy, ale dyskretnie/ Sfinks !

IRENA

- Raczej flet, który Hamlet ofiarował Rosenkrantza i prosił go, żeby zagrał. Jak pan sądzi, dlaczego Rosenkrantz na nim nie zagrał ?

GŁOWACKI

- Bo nie umiał.

IRENA

- Bynajmniej. Dlatego pozornie, że nie odważył się wziąć go do ręki i dobyć melodji - może dzikiej, ale przecie melodji.

GŁOWACKI

/z wyraźną ironią/ Pani Ireno.. pani igra słowami.

IRENA

- Opętała mię ziuń ta dzika melodja. Lękam się jej a czasem chciała się z nią rozmuchuję. Ona ni tu, w mózgu gra... oczy moje pełne tańczących iskier.

GŁOWACKI

- Niech się pani na mnie oprze. /obejmuje ją ramieniem/ O, tak,- o tak, ramiętko te moje. Boże, jak pani włosy pachną ! /całuje jej włosy/

IRENA

IRENA

/poniżona - bezsilna/ Co pan robi,- panie, co pan robi ?...

GŁODNIEWICZ

- Kołyszę cię w takt dzikiej melodji. Ustami w usta wśpiewam ją w ciebie. /całuje ją/ Nie broń, nie broń,- daremnie ! Ty chcesz być moja, będziesz, musisz ! /przed oknem w ogrodzie ślad ciemi Żmudy/ Nie wydam cię na pastwę samotności. Utonmy w bajce w czasie. /bezsilną unosi ją i wkłada za kotarę/

S c e n a 9.

/Ledwo znikneli, z ogrodu wbiega ŻMUDA. Twarz jego straszna, w prawej ściska rewolwer. Przed portjerą zawahał się: wejść czy nie wejść ? W tej krótkiej chwili przeżywa najcięższy moment swego życia. Kończąc się ze sobą - po chwili - wierzy sobie w okręt. Przyszła mu jakaś myśl. Siada przy biurku, pisze nerwowo kilka słów. Zreflektował się. Drze w rękach zapisaną kartkę i chowa do kieszeni. Wstaje,- z za kotary dobiega go dźwięk urywanych słów czy okrzyków. To jest nad jego siły. Jakby chciał nie słyszeć, nie wiedzieć - wybiega przez ogród.- Po chwili słychać strzał przytłumiony znaczną już odległością./

Koniec aktu I.-

60 b

A K T II.

Skromnie umeblowany pokój. W fotelu na biegunach [illegible] siedzi [illegible] IRENA. Nieco postarzała, zmęczenie na twarzy, co w ogólnych liniach całej postaci. Włosy rzadsze twarzy nieco zgrubiały. Nie jest to już [illegible] wzrosły. W oddali mniej dbałości, ale nic jeszcze z zaniedbania.

S c e n a I.

/Przez drzwi z kuchni wchodzi służąca MARYNIA, z flaszeczką dla niemowląt. Idzie na palcach rozejrzawszy się na śpiącą Irenę. Wchodzi do dziecinnego pokoju.- po chwili wraca, otworzywszy drzwi, Irena się budzi./

IRENA

/przerażona, że zasnęła/ Która to ? /spokojniej, zmrużywszy swoje oczy/ Przekął ?

MARYNIA

- Przyszła ze mną flaszeczkę.

IRENA

/przeciągając głowę, ziewa/ Dziękuję ci, moja droga. Spałam jak kłoda, choć z nocy mi nie budził.

MARYNIA

/kręcąc lekko fotelem/ Od jakiegoś czasu daje panience spać.

IRENA

/z zadowoleniem ostatnie słowa/ Bogu, że mi już tak nie dokucza. Z początku tylko się ruszył, musiałam

do niego wstawać ale teraz... /ziewa/

MARYNIA

- Bo to z czasem ustaje.

IRENA

- Podobno. A u ciebie długo trwało ?

MARYNIA

- U mnie ? /przestaje [illegible] ją słuchać/

IRENA

- No,tak, u ciebie.- Cóż ty ? /otwiera oczy, ogląda się na nią, widząc ją smutną/ Ach, przykro mi się. No, bo tak opowiadasz, jakbyś [illegible] tamte wspomnienia. /kładzie rękę na jej dłoni, wpół zaróżowa ku niej/ Daruj mi, moja droga.

MARYNIA

- Ja wiem, że [illegible] nie chciała przecież...

IRENA

- Ty mi gorzej wypominasz ciągle tę „[illegible]", a ja to znoszę i nie gniewam się za to.

MARYNIA

/przypadając do kolan/ Moja miła [illegible] -

IRENA

/głaszcząc ją po głowie/ Z głupia rzeczy jesteś mi jak bratnia przez [illegible], aby [illegible]. Czy ty mnie jeszcze [illegible] jesz ?

MARYNIA

- Czy ja wiem ? - [illegible] ja ze mną [illegible], jak mi to [illegible]../[illegible] płacze/

IRENA

[illegible]

- Znowu zaczynasz ? - daj-że pokój. No, już, no przestań. Zelżyłaś - odpokutowałaś...

[illegible]

/łzawo łzy/ Tak, ale żeby nie panienka, gdzie jabym dziś była ? Może znowu w kryminale. Bo któżby mię taką wziął na służbę ? /okrywa jej głowę pocałunkami/

[illegible]

/serdecznie/ Nie płeć, nie płeć, nie lubię tego. Raczej powiedz, co jabym robiła bez ciebie. Mogłabym pójść do cyrkusu i tak z lekcja na lekcję gonić, potem wyjść samą kiedy służącą ni z pierza ni z pięra ? A tak - jestem prawie wolna i mogę pracować a przedewszystkiem zarabiać. /wstaje - energicznie, z poczuciem wewnętrznej siły/ Zarabiać na siebie i na dziecko ! Ach, żeby ! Dziewczęta, jaką to moc daje człowiekowi, kiedy czuje, że ma o siebie siłach i może się na nie i na nikogo nie oglądać. /zaczyna chodzić po pokoju - [illegible] została z klęczek i wodzi za nią oczami/ Oprawdą tego właśnie świat nie lubi. Biedę przebaczy, śmierć tego - nie. Własna droga ci pachnie ? - cwałem, ja ci ją nawet wyorujemy. Brukują też, brukują...

[illegible]

- Kwiatem radość brzydko potrafi.

[illegible]

- Ona zwija,- brzydko. Słowo „przyjaciółki".- Ich nie mój świat. Dosyć, wiem wszystko, przynajmniej mi z nich urośnie podrzędnik.- Ona i rynsztok ! - tego właśnie chciałem uniknąć. I to mój tryumf i radość,- słyszysz ? radość.

cé.

MARYNIA

- Tak to lubię. Szczerze będzie zawsze sobie półtenka wesoła.

INNA

/przystając i patrząc jej w oczy/ Phi ! a nieznałaś mię kiedy inną ?

MARYNIA

/z wahaniem/ Nie...

INNA

/puszczając oczy/ Masz jednak racje. Tak, to jedno,- widzisz,- to jedno. O ten nie mogę myśleć spokojnie. Ten stoń czy to godzina, z której ci przyjdzie po-patrzeć jej w oczy !... Moja godzina, moja szczęśliwa godzina.

/Pauza/

MARYNIA

- Mnie się wszystko wydaje, że się starasz pani rozjaśnić.

INNA

/raczej do siebie niż do Maryni/ Być może. Ale jeśli nie ? jeśli ze swego łona pragnie zjednać to, aby przy jednaczce /z ironją/ „odetchnąć czystą atmosferą"...? Jacyśmy biedni Maryniu, jacyśmy wszyscy biedni...

MARYNIA

- Gdyby przyjechała to jakoś to będzie..

INNA

- Nie wiesz co ?

MARYNIA

- Cośby się przecie musiało zrobić. Poco się to trapić

przed czasem.- Ale panienko, panienka miała gdzieś iść.

IRENA

- Prawda. /spojrzała na zegar nad kanapą/ A tak się boję tej konferencji.- Daj mi płaszczyk. /idzie przed lustro, wkłada kapelusz/

MARYNIA

/wyszła do przedpokoju, wraca z żakietem i podaje go jej/ Kawę zrobić ?

IRENA

- Jak zwykle.

MARYNIA

/filuternie/ Osobno zostawię trochę na czarna.

IRENA

/z miłym, przyjaznym uśmiechem/ Myślisz ? - Dobrze, zostaw, ale wątpię... /uśmiech jej zgasł/ Gdyby jednakże...

MARYNIA

- To powiem, że panienka niedługo wróci.

IRENA

/zrób z miłym uśmiechem, palcem trąciszy ją po nosie/ Nosek masz długi. /zrobiła jej lenka"z twarzy" ej, ty sprytiarzu, ty sprytiarzu, ty ! /puszcza jej twarz/ Dobrze, powiedz. Jeśli może,niech zaczeka. Tylko...

MARYNIA

- Ach -

IRENA

IRENA

- Język za zębami. Jeśli sam zechce to dobrze,- postaram się niedługo bawić. A małemu... /zmierzała w stronę dziecinnego pokoju,- spojrzawszy na zegar nad kanapą/ nie, już późno. Zresztą tv to ste razy lepiej odemnie potrafisz. /zawraca ku przedpokojowi/ Przewiń go, jeśli trzeba, moja droga i nie odchodź nigdzie.

MARYNIA

- Będę okna myć.

IRENA

/w przedpokoju do znikającej w drzwiach kuchni Maryni/ Tylko nie zrzuć kotu miednicy na głowę i sama nie wypadnij. /znika w lewo/

Scena 2.

MARYNIA

/wraca z kuchni z miednicą i ściereczką, stawia miednicę na krześle wziętem od biurka i zaczyna myć okno dalsze od widzów. Wtem odzywa się katarynka. Marynia wychyla się przez okno. Popatrzyła na dół na podwórze, potem powiodła wzrokiem po oknach kamienicy, zaśmiała się do kogoś z naprzeciwka i pogroziła mu. W przedpokoju odzywa się dzwonek, ale Marynia go nie słyszy, nucąc wraz z katarynką tę samą melodję. Gdy manipulując oknem zewnętrznem, przymknęła je i dźwięki katarynki przycichły nieco, dzwonek się znów odzywa. Marynia tym razem go usłyszała, wybiega otworzyć./

Głos MARYNI

- Całuję rączki.

ŻMUDA

- Dzień dobry. /wiesza kapelusz na szczegach w przedpokoju, wchodzi. Przybyło mu siwizny. Zeszczuplał, stał się oszczędny i ostrożny w ruchach. Na zdeformowanej nieco prawej skroni blizna po szwie chirurgicznym. Na wszystkie, co mówi i robi, znać tłumik i przyćmienie/ Zastaję panią ?

MARYNIA

- Niema minuty jak wyszła.

ŻMUDA

- Musieliśmy się minąć. Mniejsza z tem, Marynia jej to odda. /z dolnej bocznej kieszeni marynarki dobywa zwitki skryptu i korrekty i kładzie na stole Ireny między oknami w lewo/

MARYNIA

- Oj-oj tyle ! Dopiero się panienka ucieszy. Ale oczy odcierpią za swoje.

ŻMUDA

- Bolą ją ? A zrobiła Marynia to, o co prosiłem.

MARYNIA

/przytaknęła głową, wskazując na kanapę/ Tu sypiam. Tylko skromnie - już lecę. Panienka o niczem nie wie i w głowę zachodzi, co się to stało, że jej nie budzi po nocach. Przez cały ten miesiąc raz tylko wstawała do niego. Z mojej winy. Zaspałam. /chce go w rękę pocałować/

ŻMUDA

/wzbraniając/ Każdemu się zdarzy,- ot i ja zapomniałem... /dobywa z kieszonki kamizelki kilka banknotów/

Za ubiegły miesiąc i dwa następne z góry, bo może wyjadę na jakiś czas. /widząc, że się wzdraga przyjąć/ No, no, bez skrupułów,- i tak tanio sprzedaje Marynia swój sen.- A teraz proszę uważać. /wertuje w zwitkach korrekty na stole, podczas tego Marynia odwróciwszy się nieco, chowa banknoty za gorsę/ Tu skrypt i dwa arkusze składu,- to do siebie należy, /odkłada/ a tu skryptu na trzy arkusze, ale składu ledwo połowa, resztę doniosą, bo im się rozsypało na maszynie. Otóż proszę pani powiedzieć...

MARYNIA

- Ja tego nie powiedziałam. Najlepiej, żeby...Panienka wnet wróci.

ŻMUDA

- Mam czekać ?

MARYNIA

/pospiesznie/ Tego panienka nie mówiła, ale myślę, że... Ja tak myślę.

ŻMUDA

/patrząc na zegarek, by uniknąć jej spojrzenia/ Dobrze. /idzie i siada przy stole w lewo/ Zacznę sam, zawsze coś ubędzie. A Marynia niech wraca do swojej roboty, mnie to nic nie przeszkadza. /zaczyna robić korrektę a Marynia okno myć. Pauza./

MARYNIA

- A może zrobić czarnej kawy ? /pauza/

ŻMUDA

/pozornie obojętnie, rzekomo zagłębiony w korekcie/ Co to Marynia mówiła ? że panią oczy bolą ?

MARYNIA

- [illegible].

ŻMUDA

/do siebie/ Szlochu po katach.../wstaje, podchodzi do niej/ Nie wiesz czego ?

MARYNIA

- Wszystkiego i niczego. /przeciera szyby/

ŻMUDA

/zachodząc tak, że przez szyby patrzy jej w oczy/ Lekcji [illegible], co ? A mnie... /uchylając ramę okna, za którą oczy schowała/ Popatrz mi w oczy. Może ją kto obraził, mów.

MARYNIA

- Zmartwienie jakieś ma.

ŻMUDA

- Jakie ?

MARYNIA

- Czy ja wiem.

ŻMUDA

- Wiem, tylko zakazała [illegible] mówić o tem ze mną. Nie bój się, nie powiem [illegible] /dotknął swej blizny [illegible]/ Wiem obawy, siedzą sobie jak w wacie. Zatem ?

MARYNIA

- Pan profesor toby i z nieboszczyka wydobył tajemnicę.

ŻMUDA

- I to mi się zdarzało. Zatem ?

MARYNIA

- Starsza pani...

ŻMUDA

- Przyjeżdża.

MARYNIA

- Jezus Marja ! - przyjeżdża ?

ŻMUDA

- Pytam właśnie.

MARYNIA

- A powiedział pan to tak jakby... Panienka niczego, tylko tego jednego się bała.

ŻMUDA

- Tego się boi.../zaczyna chodzić./

/Pauza/

MARYNIA

- Starsza pani miała już w zimie przyjechać, ale coś ją zaszło. Potem napisała, że na Wielkanoc i znowu odłożyła ku lutu. Chce panience zrobić niespodziankę - nie wie, że największa tu ją czeka. /pauza/ Teraz lato, od kilku tygodni ani listu ani kartki,- więc panienka ciągle jak wyaz na pudle, gryzie się, nie dośpi, nie doje... Oj, wiem ja jakie to wtedy człowiekowi myśli do głowy przychodzą. /pauza/

/Żmuda zupełnie zatopiony w swych myślach chodził nie słuchając paplania Maryni,- gdy umilkła usiadł przy stole nad korektą/

MARYNIA

/otrząsnąwszy się z zadumy/ Jak umiem tłómaczę pa-

nience ale cóż ja głupia mogę ? Panienka mnie słucha - i popłakuje. Patrzeć już na to nie sposób. /zamyka wewnętrzne kwatery okna/ Ale niech się pan profesor nie boi,- jakby przyszło co do czego, to się coś zrobi.- Żebym była dawniej wiedziała, to i moje do dziś dnia chowałoby się żywe.- Na wsi byłoby małemu zdrowiej. A ta Burakowa panoś poczmia kobieta, dziewczęta ją chwalą... /spojrzał na Żmudę,- wynosi miednicę i ścierki do przedpokoju, postawiwszy pod drzwiami kuchni, wraca, podchodzi do Żmudy/ Jak pan profesor myśli ? Żeby jej to kto mądry wytłomaczył...

ŻMUDA

- Co takiego ?

MARYNIA

- Przecie jakby starsza pani niedługo tu zabawiła, to możnaby Stasia na ten czas...

/słychać dzwonek w przedpokoju/

ŻMUDA

- Pani wraca. /wstaje/

MARYNIA

- Panienka ma klucz a jak go kiedy zapomni, to dzwoni trzy razy. Pójdę popatrzeć przez judaszek.

ŻMUDA

/zachmurzy się/ Zawsze ta niedbalstwo gdera ! Prosiłem Marynię tyle razy... /idąc jak bolerio ją dotknął,- niechcący/ Czyż to tak trudno upilnować języka ?- No, no, nie rób sobie z tego nic. /słychać znów dzwonek/ Idź, popatrz. /odczekuje w pobliżu pieca/

MARYNIA

/wyszła i wraca na palcach,- szeptem/ Jakiś pan. Mnie się zdaje, że on tu już parę razy był, ale go panienka nie przyjęła.

ŻMUDA

/szeptem/ To nie otwieraj.

MARYNIA

/j.w./ A jak nie on ? Może co ważnego.

ŻMUDA

/j.w./ Czy ja wiem... Zażądaj biletu.

MARYNIA

/znika w przedpokoju w prawo,- słychać otwarcie drzwi i kilka słów rozmowy - wraca, oddaje bilet/

ŻMUDA

/przeczytał, zbladł, ręka mu drży/ Pani... na długo wyszła ?

MARYNIA

/z gestem: „alboż ja wiem"/ Na konferencję w liceum.

ŻMUDA

/po sekundzie namysłu/ Proś. /cofa się i oparty o piec czeka. Na czole jego widna wielka praca myśli.-

/Przybyły wpuszczony przez Marynię wszedł, niesioną na ręku zarzutkę powiesił na [illegible], obrzucił spojrzeniem swój nienagannie skrojony tużurek, dopiął rękawiczki i z kapeluszem w ręku rozbudzi.- Jestto Głodniewicz z pierwszego aktu tylko nieco „podtatusiały" z pierwszymi śladami łysiny.

Znalazłszy się na środku pokoju i nie widząc w nim nikogo ogląda się. Spostrzegłszy Żmudę nie może ukryć oznak lekkiego zdziwienia.- Marynia tymczasem zabrawszy miedzicę etc. wychodzi do kuchni/

S c e n a 3.

ŻMUDA

/panując nad sobą, tonem nieledwo swobodnym/ Witaj Józiu.

GŁODYMIRCZ

/podchodząc, całkiem swobodnie/ O, kopę lat profesorze. /wyciąga rękę/

ŻMUDA

/kryjąc ręce za siebie/ Chciałem dziś do czynienia z karbunkułem.

GŁODYMIRCZ

/pośpiesznie cofając dłoń/ Do licha ! - ostrożności nigdy nie zawiele, rozumiem to doskonale. Ja taksamo pilnuję się po każdej sekcji.- Co się z profesorem dzieje ? Ktoś mi mówił, że pan w Instytucie Pasteura...

ŻMUDA

/wskazując na sofę/ Tak, pracowałem.

GŁODYMIRCZ

- Dziękuję. /siada/ Co za niespodziewane i miłe spotkanie. Więc pan zdążył już być w Paryżu i wrócić. Katedry nie gratuluję, pan był zawsze primo et unico loco. Jakież tam nowe serum w robocie i kiedy oddaje pan terapii ?

ŻMUDA

- Na razie próbuję na królikach i kozach.

GŁODNIEWICZ

- Jakże ten czas leci,- piekielnie ! Dawnoż to siadał człowiek do ostatniego rygorozum a dziś od roku już na posadzie.

ŻMUDA

/przysunął sobie taburet, siadł/ Tak ?- powinszować.

GŁODNIEWICZ

- Dziura bo dziura, ale praktyczka niezła, dalibóg niezła, zwłaszcza w okolicy. Z oględzinami zołok i bydła mam tyle, że mogę żyć a nawet pomyśleć o dopełnieniu pewnych... nazwijmy to: obowiązków.

ŻMUDA

- To szlachetnie. /spojrzał na niego bystro, widać jak intensywnie pracuje myśl/

/Pauza/

GŁODNIEWICZ

/który unikając tego spojrzenia i z oczekiwaniu gospodyni rzucił okiem po pokoju/ A cóż u profesora słychać ? /pauza/ Kopę lat... Nie pan ? na różne siłę się w tej chwili przypomnieć sobie, kiedy miałem zaszczyt ostatni raz...

ŻMUDA

/z czającą się w głosie lecz bardzo ironią/ Ja go miałem tu przed dwoma laty na studenckiem zebraniu u panny Ireny. Dziś jak obszyć dwa lata temu.

GŁODNIEWICZ

- Jakto ? dziś ? - no, nie pan, co za fenomenalna pamięć.

ŻMUDA

- Dzień ten nie zastrzegł w panu nawet przelotnem wspomnieniem ? /zmierzył go wzrokiem,- nie czekając odpowiedzi,/ Co do mnie - bez przemówni, wesoło i matrejalnie - utkwił mi w mózgu.

GŁODNIEWICZ

- Jakto ?

ŻMUDA

/badawczo, chcąc się przekonać, czy na poczucie, że był tego przyczyną/ Zapewne słyszał pan...

GŁODNIEWICZ

/wyraźnie swobodnie/ Ach, tak, prawda,- tak,tak, ten fatalny przypadek -

ŻMUDA

/z tonu upewniwszy się, że partner nie domyśla się ani swojej winy, ani nie przeczuwa, iż mówi z człowiekiem, znającym tajemnicę jego i Ireny,- zaczyna mówić swobodniej, wreszcie z „galgen humorem" którym maskuje chęć zemsty i pogardę/ Dziś nie nazwałbym go fatalnym, przeciwnie,- ale wówczas gdy mnie odratowano, chciałem się spalić ze wstydu, że nie umiem się z bronią obchodzić i zamiast jednemu z rzezimieszków, sam sobie wpakowałem kulę w łeb.

GŁODNIEWICZ

- Zawadził pan o ubranie ?

/ W przedpokoju z prawej wchodzi Irena,- słysząc czyjąś rozmowę przystaje i przysłuchuje się chwilę - obejrzała zarzutkę Głodniewicza,- potem kryjąc się za prawą futrynę drzwi podgląda rozmawiających. Dostrzegłszy Głodniewicza cofa się w głąb i pod szaragami tylnej ściany wymyka przez drzwi do kuchni/

ŻMUDA

- Nie pamiętam, a napastnicy dali nura i dotąd ich nie wykryto. Już to ta nasza policja, pożal się Boże !... /zwracając się do niego skronią i półruchem wskazując na nią/ Ostatecznie - jak pan widzi - nic mi się nie stało, przybył mi tylko marsowy wdzięk na skroni.

GŁODNIEWICZ

/oglądając z zaciekawieniem/ Zgrabnie to panu zaszyto.

ŻMUDA

- Bardzo,- a kulkę noszę sobie w mózgu na pamiątkę -

GŁODNIEWICZ

/wstrącając/ ...została ...?

ŻMUDA

/przytwierdziwszy głową/ i odtąd chodzę jak szklany niczem sylfy w balecie lub drugi Błondin na swej lince.

GŁODNIEWICZ

/z współczuciem/ Gdybyż mniej pajęcza -

ŻMUDA

- w tem jej... urok. Ten drab, przez którego strze-

liłem sobie w łeb ani dotknęła się... Pan się nawet nie dotknął, ile mu zawdzięczam.

/Z kuchni przez przedpokój wchodzi żywo Marynia - Człowieczyca zdawało się, że to jemu comu - niecoś umiótł się, jest zresz usiadł. Bierze ze stołu kartkę papieru i ołówek i wraca skąd przyszła. Żnudę zastanowiła to niecc, powiódł za nią i odprowadził wzrokiem, lecz nie przerwał toku słów/

CZŁOWIECZYCA

- Jakto ?

ŻONA

/przelotnie dotknąwszy skroni/ Ja, to czemże jest przy takiej chili, wyjącej się każdej chwili skonać - /wobec gości Człowieczycy/ o tak, i jak jeszcze - czemże jest moment wiri kochanek wobec tej świadomości, że jedno przeżywamy się, jedna gwałtowniejsza emocja a otchłań...

CZŁOWIECZYCA

- Ech, to potworne -

ŻONA

- Dziwi tam,- trzeba się w to tylko umieć wżyć. Przy każdym haustu, każdym kwiecie taka przelotna świerć- myśl: „a może to już ostatni" ! - bo, panie, jak wtedy każda rzecz smakuje.

CZŁOWIECZYCA

- Bajeczna przypraw ale... monotonna.

ŻONA

/pasąc się jego przerażeniem/ To ma tysiące odmian i

niuansów. Choćby ot taki przypadek z przed paru dni. Mikroskopując zapomniałem - uważa pan - otworzyć blendę i nagle z [illegible] preparatu widzę [illegible] wędrującego aleą róż w ogrodzie zakładu dla ociemniałych, słyszę kroki siostry w białym kornecie drepczącej przy mnie i wyczytuję na [illegible] jej oblicze, żałujące mię spojrzenie. Innym razem inna znów asocjacja, rozmaitość ogromna. Ale wszystko blednie wobec tego, co się w tych warunkach przeżywa z kobietą -

GLOLNITYCZ

/żywo, zaciekawiony tą sytuacją/ Tak, to musi być interesujące. Wyobrażam sobie - prawda ? - te dziwie oczy wpijające się [illegible] z natłoku, ten paniczny lęk zmieszany z drażniącą rozkoszą.

ŻMUDA

/z ironją/ Ho-ho,- rozczytywał się pan - widzę - w dziełach markiza de Sade.

GLOLNITYCZ

- Bo co ?

ŻMUDA

/z mściwą pogardą/ Że pan tak w lot, tak żywo odczuł tę sytuację.

MARYNIA

/wchodzi z przedpokoju/

GLOLNITYCZ

/widząc, że się zagalopował/ Ach, profesorze,- honi soit qui mal y pense !

MARYNIA

[illegible]

/do Ireny/ Panienka proszę.

[illegible]

/zdziwiony/ Panienka ? Ja nie ? /wstał, do Głogniewicza, który się również podniósł/ Dziwuje pan... /wychodzi przez drzwi po lewej do kuchni/

[illegible]

/odprowadzony wzrokiem znikał, wręcza Głogniewiczowi kartkę, którą trzyma w dłoni za sobą,- oddaleczy się idzie do przedpokoju, z z rzutka Głogniewicza na rękę czeka na wiązkę/

[illegible]

/odbierając kartkę, niemile zdziwiony/ Dla mnie ? - Hm... /podnosi na panią, marszczy brwi,- raz jeszcze przeczytawszy kartkę jeszcze raz/ /czyta/ /Ciągle jeszcze nie/ chciałem zrozumieć, że drzwi moje zamknięte są dla jakich na zawsze.- Irena Wiązanka"... Ha na nasze /z wściekłością lecz spokojnie mnie kartkę w ręku/ Ireno !... Duchowi nasz dała w pysk i powiła... Brzeczka... /zajęty się złym, cynicznym śmiechem/ Ale ona, ten łapiej,- czy to jeden kawał na biurze sobie ? Nie to nic, jim swoje zrobił.. /wychodzi do przedpokoju, odebrawszy od Maryni płaszcz w prawo.- Ledwo Maryni drzwi za nim zamknęła, wchodzi z kuchni [illegible] i JANDA. Maryni chwyciła do kuchni/

S c e n a 4.

[illegible]

/Jeszcze w przedpokoju, idąc za Ireną/ Raz jeszcze

przepraszam panią za tę niestosowność. Obcując ciągle z młodzieżą zasiąkł się mimowoli studencką bohemią. A ponieważ - o ile pamiętam - obdarzała pani sympatją jego siostrę a bodaj że i...

IRENA

- Ach, nie mówmy już o tem. I pan ten i całe to zajście niewiele mnie obchodzą. Z mojej strony był to również nietakt. Koniec. Proszę się o nich.

ŻMUDA

- Absolutnie powinna pani wyjechać.

IRENA

/zmuszając go/ Zostawiając plac językowi ? Nie zrobiłam tego dotąd, nie zrobię i teraz.

ŻMUDA

- Ja nie to miałem na myśli. Wyjechać poprostu dla odpoczynku.

IRENA

- Nie mam ani gdzie ani do kogo.

ŻMUDA

- Ach, na pierwszą lepszą wieś. Znajdzie tam pani z autentyczną krową i mlekiem...

IRENA

- Zaczyna pan tak ponętnie, że gotowam się nie oprzeć. /wskazała mu miejsce na sofie, sama siadła na taburecie składając ręce na bocznem oparciu sofy/ Sama myśl czegoś naprawdę autentycznego... Widzi pan jak składam ręce.

ŻMUDA

- Mam pewien projekt.

IRENA

- Cudownie !- Projektować: to: patrzeć w przyszłość, tworzyć jakro więc potrosze i wierzyć w nie.

ŻMUDA

/nie reagując/ W Sosnówce, mojej rodzinnej wsi, mam siostrę wydaną za leśnika. Prości ale bardzo poczciwi ludzie, i on i ona.

IRENA

- Leśniczówka !

ŻMUDA

- Nie wzywaj tego tak szumnie,- ot zwykła chałupa na rębowisku, wokoło pełno tarniaku, wrzosów i poziomek a dzisiaj wszystko pokryte słońcem i ciszą.

IRENA

- Ależ to raj.

ŻMUDA

- Tak,- tylko towarzystwo...

IRENA

- Serdeczne i zacne.- Wie pan ?- aż mi zapachniało smółką leśną i jagodami. Ach, wyrwać się na chwilę z tej ciżby śmiertelników, pooddychać rzeźwem powietrzem, pełną piersią wdychać ciszę i poczciwości ludzkiej ! Nigdy mi pan o tej siostrze nie wspominał i o Sosnówce ani słówkiem. Ładnie-ż to ? A pan zagląda tam kiedy ?

ŻMUDA

/zwracając do czego zmierza/ Mają tylko dwie izby i gdyby

pani jedną odstąpili...

IRENA

- Naturalnie,- o tym mowy być nie może -

ŚMUDA

- Chce pani ?- napiszę do nich. Warunki nie byłyby wygórowane, /pospiesznie/ tak sądzę przynajmniej. Cóż oni mogą zażądać za izbę i trochę strawy dla trojga osób a wiadomo...

IRENA

/spoważniawszy nagle/ Ach, widzi pan,- nie takie to proste. Jest tam gdzie lekarza pod ręką ? Nie chodzi o nie ale... /spuszcza oczy/

ŚMUDA

- W danym razie i lekarz-by się znalazł. /pauza/

/W przedpokoju ukazała się Maryna zmierzając w prawo/

IRENA

/zauważywszy ją, rada że jest czem wypełnić przykrą ciszę wstaje i podchodzi nieco ku przedpokojowi/ Co tam Maryniu ?

MARYNIA

- Stróż mię po coś woła.

IRENA

- Nie masz to swoich schodów.

MARYNIA

- Kazał mi frontowymi wejść na bramę.

IRENA

- Także !- /za znikającą w prawo, nieco głośniej/

A wracaj bo czas nakrywać do podwieczorku. /do Żmudy/ Dotrzyma mi pan towarzystwa ? /Żmuda wstaje z sofy/ Niech mi pan nie odmawia i chwilę pośnięci.

ŻMUDA

- Najchętniej, tembardziej, że winienem pani objaśnić korrekty -

IRENA

- Prawda, nie podziękowałam panu jeszcze. Widzi pan, jak mnie pan już zepsuł. Biorę to jak coś należnego mi, jakby się to samo przez się rozumiało. Dziękuję panu. /ściska mu dłoń/

ŻMUDA

- Za co ?- Pani mię tylko wybawia od nieznośnej roboty, którą przez chciwość,- typową chłopską chciwość - wziąłem a potem bez ceremonji zwaliłem na panią. /podszedł do stołu, siada na krześle, wertuje w skryptach, Irena podeszła również - staje zrazu tyłem do przedpokoju/

IRENA

- Szczególna, że pan tylko, jeden jedyny pan wszystko dobre na mnie zwala. Podobno pięć arkuszy. Nawet pan nie przypuszcza jak mi to w porę przychodzi.

/W przedpokoju zjawia się Maryna z walizką w ręku/

ŻMUDA

- Cieszę się jeśli tak jest istotnie.- Otóż proszę, niech pani pozwoli -

IRENA

/zmienia pozycję - stając prawie że za Żmudą spostrzega Marynię,- jeszcze swobodnie/ A ty co wleczesz ? czyje to Maryniu ?

MARYNIA

- Mamy gościa.

IRENA

/idąc ku niej krokiem/ Gościa ? kto taki ?

MARYNIA

/nie umiejąc złej wiadomości lepiej owinąć w bawełnę/ Jakaś... starsza pani...

IRENA

/niespokojnie/ Co za pani ?... /idzie nieco ku niej/

ŻMUDA

/domyślił się, wstał, staje za Ireną/

MARYNIA

/po krótkiej pauzie/ Starsza pani,- mama panienki.

IRENA

/z nagłym wypadem ku niej/ Oszalałaś ?!

MARYNIA

- Starsza pani przyjechała.

IRENA

/zapominając o obecności Żmudy, dłońmi chwytając się za głowę/ Jezus Marja, tak nie uprzedziwszy... Jezus Marja, co ja teraz...? /spostrzegając Żmudę, który stanął obok niej - opanowuje się i śmieje nienaturalnie/ Ha-ha-ha, patrz pan, co się z mojemi nerwami zrobiło. /mimowiednie przyjęła podane jej rękę/ Muchna, moja Muchna przyjechała... /do Maryni/ Idzie już

MARYNIA

- Nie może się z fiakrem rozpłacić i prosi, żeby

panienka...

IRENA

/przełknąwszy ślinę Żmudy/ Zbiegnij i powiedz... albo nie... obszedł powiedz, że mnie nie ma, żem wyjechała... Boże, co ja plotę -

ŻMUDA

- Jeśli mi pani pozwoli siebie wyręczyć...

IRENA

- Tak, tak, jaki pan zacny. /tłumiąc łzy i skurcz gardła/ Dziękuję panu /kładzie mu dłoń - do Maryni/ Idź i powiedz, że pan tam...

MARYNIA

/wraca z prawa/

ŻMUDA

/biorąc ją sobie pod rękę/ Pani Ireno, nie pani odchodzi, tak nie można. Trzeba mu sobie pomóc, koniecznie. /prowadzi ją ku sofie/ Niech pani przysiądzie, bodaj na sekundę.

IRENA

- Formalnie nogi mi odjęło.

MARYNIA

/niedostrzeżona przez nich przebiega przedpokój i znika w kuchni/

ŻMUDA

/sadzając ją na sofie/ Jestto zupełnie zrozumiałe przy pani wyczerpaniu i bądźcobądź silniejszem wzruszeniu.

IRENA

/z nienaturalnym pośpiechem/ Niech pan doda: radosnem.- Takie ścinały mię zawsze z nóg. Ale to przejdzie, tak, chwilkę spokoju. Byli wyśli zebrać. Tak, to przejdzie... Już mi różniej, dziękuję panu. A teraz niech mnie pan zostawi a sam jeśli łaska zejdzie i powie mamie...

ŻMUDA

- Naturalnie. Powiem, że pani... Już ja tam coś wymyślę. /wychodzi/

/Zaledwo wyszedł i zniknął w przedpokoju w progu Irena zrywa się, dopada dalszego okna, szarpnięciem otwiera je tak gwałtownie, że szyba wypada z brzękiem i tłucze się na podłodze w kawałki. W chwili gdy Irena stojąc już na krześle pozostawionem przez Marynię podczas mycia wstępuje już na parapet okna z przedpokoju wpada Żmuda i z tyłu chwyta ją pół.- Tuż po nim Marynia wracając z kuchni i biegnąc ku drzwiom na klatkę schodową usłyszała zgrzyt szkła,- stoi w głębi i - z przerażeniem - jest świadkiem następującej, błyskawicznej sceny/

IRENA

/już w uścisku Żmudy, siląc się obejrzeć za siebie/ Kto tam ? - /wściekle i głośno/ Proszę mnie puścić, co to jest !- proszę mnie puścić, puść mnie ! - zacznę kąsać, puść !!

/Żmuda uniósł ją trzaskiem na ręku i stawia na podłodze,- Irena zatacza się i opiera o krawędź lustra.- Marynia z półgłosem „Jezus" ! - wiążąc, że

Irena już uratowana wybiega szybko przedpokojem w prawo/

ŻMUDA

/rzuciwszy okiem po oknach kamienicy zamyka okno i staje przy niem na straży/

IRENA

/ciężko oddycha - z opadającą wstecz głową, z szeroko otwartemi ustami - szpetna w tej chwili lecz prawdziwa - otwiera oczy spostrzega Żmudę/ Jakiem prawem... Pytam pana: jakiem prawem ?

ŻMUDA

/z żelazną twardością/ Prawem silniejszego.

IRENA

/chwilę patrzy mu w oczy,- potem z bólem i nienawiścią a nawet krwawą pogardą/ Znałam pana szlachetnym a jesteś tylko... mściwym !

ŻMUDA

/dotknięty do głębi/ Ja ?... /miękko, z wielkiem współczuciem/ Życie.

IRENA

- Nienawidzę je !

ŻMUDA

- Wolno ci nienawidzić właśnie nie to tam... /to mówiąc ukazał ku drzwiom dziecinnego pokoju/

IRENA

- Nienawi... /przelękła się sama tego okrzyku z pod serca/

ŻMUDA

/przeraził się nim również,- spojrzał na nią,- zamyślił się sekundę,- w milczeniu otwiera okno - odstępuje nieco od niego i odwraca głowę na bok, by nie widzieć/

IRENA

/spojrzała ku oknu, nawet momentalnie chwytanym skokiem zbliżyła się do parapetu,- spokój Żmudy oprzytomnia ją,- oceniła właściwie jego czyn,- zrozumiała, jak ciężko go skrzywdziła. Ze łzą w oku, z błagalnem spojrzeniem i takiemże gestem ręki zbliża się doń nieśmiało/ Panie Henryku,- panie Henryku...

ŻMUDA

/przebaczył jej,- podaje jej ramię,- zwykłym, przyjaznym, oddanym głosem/ Pójdźmy pani, tam czekają na nas.

/Wychodzą przedpokojem w prawo, skąd właśnie ukazuje się Marysia z walizką. Marysia przeprowadza Irenę współczującem spojrzeniem. Leśnicz zmierzli spoziera za nimi - przez otworzone zwolna drzwi - na klatkę schodową /wspinając się lekko na palce/,- po chwili zamyślenia wchodzi do głównego pokoju,- coś nagle postanowiła,- sięga za gorsy, oblicza pobieżnie banknoty,- wystarczą jej one do jej celu. Z gestem „niech będzie co chce" chowa banknoty za stanik, wybiega do pokoju dziecinnego. Po chwili wraca tuląc do piersi pieluszki i wybiega z nimi szybko do kuchni.- Po sekundzie wraca, wbiega znów do dziecinnego pokoju, po chwili ukazuje się na

progu z kołderką, flaszeczką itp. lustruje oczyma, czy nie zostawiła czego w pokoju - poczem wybiega do kuchni/

/przez chwilę scena pusta/

S c e n a 6.

/Prowadzona przez Irenę wchodzi P.Wiązecka w letnim płaszczu podróżnym. Około pięćdziesiątki, miłej powierzchowności, dystyngowana przez wielką naturalność obejścia.- I chwilę po niej wchodzi Irena z pledzikiem Wiązeckiej na ręku. Cały czas trzyma się dyskretnie na uboczu/

WIĄZECKA

- UF ! te schody... Ha, niechaj się porządnie uściskam mój ty, mój ty... filuterko. /ogląda ją w głowę, w twarz - przygląda się jej bacznie od stóp do głów/ Przybrało ci na twarzy, nie wolałabym ją widzieć rumieńszą. /wchodzi do pokoju/

IRENA

/by uniknąć zorzt badawczych spojrzeń ściąga z niej z tyłu płaszcz za rękawy/ Zmoje ci się kuchno -

WIĄZECKA

/jeszcze się jej przyglądając/ Nie, nie moje kochanie, nie jesteś różową,- bledszą.

IRENA

- To robi ten refleks od ściany. /wskazała ku oknu - sama odchodzi z płaszczem ku przedpokojowi,- wpół drogi odbiera go jej Irena i niesie na rękach/

WIĄZECKA

/idąc ku blaszanemu oknu/ Jakto ? to nie od frontu ?

/spojrzała na podwórze/ Oj-ej, cóż za kamieniczysko a wysoko brrr ! /cofa się od okna/ Pisałaś mi zawsze, że masz taki śliczny pokój z werandą w ogrodzie.

IRENA

- Miałam i to dzięki tobie,Muchno. Ale w końcu żal mi się zrobiło twoich szurpatek i pantarek -

WIĄZEWSKA

/nawiasowo/ ... Nie mam już ani jednej -

IRENA

/nawiasowo/ Tak ? - Bo jakoś trzeba było zacząć żyć własnem życiem, zdobyć się na samodzielność.

WIĄZEWSKA

/z myślą o sobie/ Niełatwo to, oj niełatwo... no, nie w twoim wieku. Ale o tem potem. /krótka pauza/

ŚMUDA

/zauważywszy, że jest zbytecznym/ Panie otrujo...

IRENA

/do wijącego się, ze śladem wyrzutu w głosie/ Zawodzi pan ?

ŚMUDA

- Mama pani znużona z drogi.

IRENA

/zdjąwszy nesesser łazeckiej starszej, pośpiesza przed zdjęciem płaszcza z łazeckiej położyć - zmienia go z podróżnego na sobie i strzyże uchem w stronę sąsiedniego pokoju/

WIĄZEWSKI

- Bynajmniej, jechałam bardzo wygodnie. /zdejmuje

dleń/ Wiem z jej listów, że zaszczyca ją pan swoją przyjaźnią. /gest Żmudy: o pani!/ O, nie panie, dla panny idącej przez życie przebojem, w dodatku z główką trochę przewróconą, dużo znaczy mieć kogoś zacnego, bezwzględnie życzliwego...

IRENA

/dając jej znaki za plecami Żmudy/ Kuchno, wystraszysz mi profesora i tygodniami oczu nie pokaże.

[illegible]

- Ośmnie przyjaźń, co w twoich ustach mogłoby go zaśmieszać - jeżeli jest panienką to...nie słuchaj. /Irena wzruszywszy lekko ramionami, przechodzi do przedpokoju i następnie znika w drzwiach kuchni/ Otóż.. /bierze Żmudę za obie dłonie/ niech pan przyjmie od matki prostą ale z pod serca podziękę: Bóg ci zapłać.

ŻMUDA

/całuje kolejno obie jej ręce/ Doprawdy pani, że prócz drobnych przysług koleżeńskich a czasem jakichś rzeczowych [illegible]

[illegible]

- Czyż to mało w studjach ? Kto nie, jakby bez nich wypuścił ten doktorat.

ŻMUDA

- Tak, jak wypadł,- świetnie.

[illegible]

/z dumą matki/ Świetnie go zdała ? tak ? I doprawdy może to jej dać kawałek chleba i stanowisko ?

ŻMUDA

- Dało już. Oczywiście początek - jak każdy początek -

ciężki. Te lekcje po pensjonatach i liceach...

WIĄZECKA

- Męczą ją ?

ŻMUDA

- Zapewne, zwłaszcza teraz z końcem roku nerwy przepracowane, powiedzmy nawet: rozklekotane i z tem należy się liczyć.

WIĄZECKA

- Aż tak ? aż liczyć się ?

ŻMUDA

- ach, niech mnie łaskawa pani źle nie rozumie. I tem wszystkiem niema nic groźnego, uchowaj Boże ! ale... trzeba ją teraz bardzo otoczyć i nie dziwić się, jeśli czasem...

WIĄZECKA

- Dobrze zatem zrobiłam przyjeżdżając, co ? To się cieszę, to się bardzo cieszę. Już to samo, że odejmę jej myśl a może nawet troskę o dom i kuchnię...

ŻMUDA

- Bezwątpienia,i to coś znaczy. Ale stokroć ważniejsza, że nie będzie się czuła tak samą, że znajdzie oparcie dla swoich... /milknie widząc wracającą z kuchni Irenę/

WIĄZECKA

/która nie widzi jej wejścia/ I listach jej - o ile umiem czytać między wierszami - pan był dla niej...

IRENA

/odmykając drzwi do swego pokoju/ Marynia !

WIĄZECKA

MIĄŻECKA

/urwawszy wpół słowa, ogląda się/

IRENA

- Cóżeś to dziewczyna sie zi...

MIĄŻECKA

- Na kole słyszałam, jak zahamowało przejeżdżający automobil.

IRENA

- Gwałtu ? pan żądał ?

ZMUDA

- Nie.

IRENA

- Zdawało ci się, kucharo.

MIĄŻECKA

- Możem się przesłyszała. A co ? trzeba ci co zrobić?

IRENA

- No, choćby walizki przenieść, wody dorąk podać -

MIĄŻECKA

- Ręce nogę sobie umyć i w kuchni.

IRENA

- Czemuż nie na umywalni, kucharo ? Pozwól do mego pokoju -

MIĄŻECKA

- O,kola - to sobie wytłumacz, moja panienko. Nie pozwolę ci tu brudzić kole siebie, wszędzie trafię i wszystko sama sobie zrobię. /idzie ku drzwiom pokoju Ireny/ Już to w drodze, żeby włożyć sto rękawiczek i sto sztuk, to się człowiek tak cały usmoli. /doszła

do drzwi, popchnęła nieznacznie przez Irenę,- na widok wnętrza/ A, ładny masz pokoik.

IRENA

- Taki sobie.

MIĘZECKA

- Miłusi bo jasny i biały. Lubię takie panieńskie pokoiki. /znika w nim/

S c e n a 7.

IRENA

/zrzuciwszy maskę spokoju/ Panie Henryku, co ja mam robić, powiedz.

ŻMUDA

/odpowiada jedynie gestem bezradności/

IRENA

- Ona o niczem nie wie,- nie przeczuwa... Zlituj się, powiedz, doradź. Co robić ? co robić ? - Ach !

ŻMUDA

/po sekundzie namysłu/ Wyjść na spotkanie rzeczywistości i spojrzeć jej w oczy.- Wyznać.

IRENA

/odruchowo,namiętnie/ Nie,nie,nie !

ŻMUDA

- Odwagi, pani,- odwagi.

IRENA

- Nie dziś, nie teraz, nie w tej chwili,- nie w tej chwili... Ze skarby świata odsłec ! - Lecę, godzinę,- dobry i kwadrans !! Panie Henryku, czy pan musi iść ?

ŻYULA

- Muszę.- Trzeba, żeby mię tu nie było - prawda ?

IRENA

- Oczywiście - nie powiedział,- tak... /pauza/

ŻYULA

/ujął jej dłoń, bardzo smutny/ Żałuj gdybym został, nie mam...chusty Weroniki.

IRENA

/zgięła się w twarz,- nagłym ruchem całuje mu ręce/

ŻYULA

/bardzo wzruszony,- zresztą broniąc, potem pozwalając na tę pieszczotę - przez łkające go łzy/ Na miłość boską, pani Irena, na miłość boską...

IRENA

/jeszcze za mocnimi/ Tak, bardziej człowiek do ludzi czuje. /Irena i Żyula na chwilę milkną - Olgierda wchodzi z tacą, na której stoi - ujrzawszy go od oczu i zmieszawszy/ Ach, przepraszam pana.../cofa się/

IRENA

- Ależ Kochana, nic nie stanęło.

ŻYULA

- Mogłem, że jeszcze tu siedzę. Moje oszołomienie panem. /do Ireny wskazując na stolik/ A tego niech pani nie odsyła, sam po to wyjdę.

IRENA

- Co ? - jaki pan dobry.

ŻMUDA

/ukłonił się Więzeckiej, wychodzi/

Scena 8.

WIĄZECKA

/odłożywszy ręcznik/ Bardzo sympatyczny -

IRENA

- To wało Muchno,- to [illegible] człowiek. /wbiegła na korektę/ Patrz, widzisz, co tu roboty i to dobrze płatnej. Jemu ją zawdzięczam.

WIĄZECKA

- Niech mu to Bóg odpłaci [illegible].

IRENA

/zdławionym głosem/ A mnie, Muchno ?

WIĄZECKA

/zupełnie naturalnie/ - Tobie także.

IRENA

/nagle chwyta jej dłonie i śród łez, zaczyna okrywać pocałunkami/

WIĄZECKA

/zaskoczona tem/ Renuś, co tobie ? uspokój się. O, widzę, że w porę przyjechałam, że jestem tutaj potrzebna. Jakże tak można ? - I czego ? czegóż ty tak ?... No, chodź, siadaj - /idą i siadają na sofie/ Drżysz cała,- uspokój się [illegible] /pauza/

IRENA

/przypadła głową do jej ramienia, zaszlochała raz z całej duszy,- to przyniosło jej ulgę - opanowawszy

się, odrywa głowę/ Ot rana już na płacz mi się zbiorało. Nie gniewaj się. Prawda, że ty się na mnie nie umiesz gniewać, nie będziesz gniewać /spatruje się w nią./

WIĄZECKA

/wziąwszy ją pod brodę, pieszczotliwie/ Doktor i taki... mazgaj. /chce ją pocałować - nagle Irena jakby coś zasłyszała, szarpnęwszy się lekko, nasłuchuje w stronę dziecinnego pokoju/ Co tobie ?

IRENA

- Nic,- zdawało mi się...

WIĄZECKA

- Musisz być bardzo przepracowana.

IRENA

- Nerwy.- /zmusiwszy się do spokoju/ Już Muchno, już,- widzisz ? już jestem spokojna. Zła ze mnie córka, żadnie z tej matki po tak długiej rozłące.- Mów mi teraz o sobie, wszystko, wszystko, - jak ci się jechało ? czemu teraz dopiero, czemu ty nie odwiedziła mię wcześniej, tak...temu dwa lata... czemu nie wtedy ?

WIĄZECKA

- Niełatwo było mi się zebrać. Bałam się...ciągnęło moje tłoczki, póki mogłam... Długo znosiłam, lata cała, aż wreszcie...

IRENA

- I dotąd zawsze tak sama ?

WIĄZECKA

/z lękiem, zaraz opanowanym wybuchem, jakby dotknięto jej rany/ Jak to ?! - Moje dziecko, czyż jabym ci

pozwoliła przez szereg lat nie zaglądać do matki, czyż jabym cię odmawiał od przyjazdu do domu, gdyby w nim było inaczej ? Przecież ja tam jestem - parawanem !

IRENA

/osuwa się do jej kolan/

WIAZEMSKA

- Zamknęłabym oczy na tasiemki, - tamtasie wyprasowiliwienia i może je znalazła.- Ostatecznie i ja mogę być nie bez winy, chociaż... któż zmieni swoją naturę ? Cóżem ja winna, że... Ach !... Zamknęłabym oczy... Nie, to nie ! ale wyrozumiała i przebaczyła,- tak, nawet przebaczyła, gdybym widziała, czuła, że... Ale te upokorzenia bez liczby,- ale tak dzień w dzień, tak po łyżeczce od kawy połykać to wszystko, znosić te bezczelne spojrzenia wsioskich latawic, te szepty i potrącania w czeladnej, w oborze, w oranżerji,- nie, to doprawdy nad siły,- Bóg mi świadkiem, już nad siły !

IRENA

- Muchna, moja Muchna...

WIAZEMSKA

- Po co ja ci to wszystko mówię ? - Nerwy mi,moja droga. Zapytałaś...Ale to i lepiej, że tak odrazu na wstępie, potem już mi słowa o tem więcej, nigdy, nigdy już. /pocałowawszy ją w głowę, zaczyna chodzić,- Irena osunęła ramiona z jej kolan na siedzenie sofy,- ta kająca się poza gorzko się z nurtującymi ją myślami/ Niewiele myśląc, sprzedałam cały kurnik, do sztuki, - to, co wzięłam za niego i uciułałam przez te dwa lata, odkiedy zastrzegłaś się, żeby ci nic nie posyłać,

zabrałam ze sobą - /zresztą to kilka tysięcy/ - i przyjechałam. Nie będę ci tu ciężarem, posiedzę rok, dwa najwyżej,- ojciec może się upamięta i zatęskni za czymś więcej niż... Nie będę ci ciężarem, mnie nic nie potrzeba, nic, prócz innego, czystszego powietrza. O, co to ? - patrzaj, szyba rozbita. /odsuwa nogą odłamki/

IRENA

/podchodząc/ To ze mnie taki niezgrabiasz. Zapomniałam zająć na haczyk i stłukłe się od przeciągu z moją głową nie miałyże dotąd... /przykucnęła, żeby pozbierać,- w przedpokój drzwiami z kuchni wchodzi, wsuwa się ruchem zaskoczona Marynia/

WIĄZOWA

/powstrzymując Irenę/ Zostaw to, zostaw Renuś, jeszcze sobie palce pokaleczysz.

Scena 8.

MARYNIA

- Ja to w ten moment podmiotę.

IRENA

- A, jesteś. /wstaje/ Górnik ty sieczniś i oczu nie pokazujesz ?

MARYNIA

/odbierając jej z ręki/ Niech się panienka na mnie nie gniewa. Musiałam. Ale wszystko już załatwione. /poskoczyła do przedpokoju, zaczęła do rąk walizki Wiązeckiej/ A gdzie dasy rzeczy starszej pani ?

WIĄZOWA

[illegible]

- Byle gdzie. T[illegible] nie na próżt bielizny i trzy[illegible] konfitur. /do Ireny/ Mnie zaś wystarczy ulokowanie choćby w sieni na kołku.

[illegible]

- Już to wiele wygodniej nie będzie tu [illegible] u mnie.

[illegible]

- Byle głowę przytulić,- ot choćby na tej sofie.

[illegible]

- Nie. To raczej ja się tu przeniosę.

[illegible]

- O,nie, na to nie pozwolę. Ja tu jestem darmozjad a ty pracujesz i [illegible] wiele wygody. /wskazując na drzwi dziecinnego pokoju/ A tam co ? Łazienka ?

[illegible]

- Tak, ale tam.../zmienia się, piersi jej falują,- lada sekundę wybuchnie/

[illegible]

- Tam-by starszej pani było najlepiej.

[illegible]

/przerażona ogląda się na nią,nie rozumiejąc dawanych jej przez Marynię znaków/

[illegible]

- Tam najwięcej słońca. A że tam trochę więcej turkotu od ulicy...

[illegible]

- To nic.

[illegible]

IRENA

- Nie, nie, tam nie !...

NIAŻECKA

/idzie ku drzwiom dziecinnego pokoju, ton głosu Ireny zastanawia ją - zatrzymuje się i ogląda na nią/ Dlaczego ? podnajmujesz komu ?

IRENA

- Nie, Muchno, ale tam... /zbliża się do niej ogromnie zmieszana/

NIAŻECKA

/nie bez zdziwienia/ Cóż tam takiego ?

IRENA

- /zdecydowawszy się/ Wejdź i - zobacz !

NIAŻECKA

/spojrzała na nią, wzruszyła ramionami - idzie ku drzwiom/ Oczywiście, że wejdę i zobaczę. /doszła, uchyliła drzwi/ A czegóż mnie więcej potrzeba ? w sam raz dla mnie, tylko firanoczki zawiesić... Ależ to bardzo miły, śliczny pokoik. /ostatnie słowa mówi już w progu i w połowie we drzwiach niknąca/

IRENA

/podczas tego pełna lęku, blada jak trup, z przymrużonymi oczyma, z rękoma bezładnie zwisającymi stoi,- trwa to sekundę. Gdy Niażecka wsunęła już głowę we drzwi - pada na kolana jak ktoś, co oczekuje ciosu/

MARYNIA

/poniechawszy trzymanych wciąż w ręku walizek, przystępuje do niej, szeptem/ Niech panienka wstanie,- ach, niechże panienka wstanie ! Pokój pusty.

IRENA

/patrzy na nią obłąkanym wzrokiem/

MARYNIA

/nieledwo rozumiejąc/ Precz wstać ! /podnosi ją siłą/ Wyniosłam.

IRENA

/nie rozumiejąc, martwo/ Wyniosłaś ?

MARYNIA

- Do jednej kobiety za dom.

IRENA

/z bezładem w myślach,- potem ulgą - w końcu nieledwo radośnie/ Za dom ?... oddałaś ?... nie ma go tam ?... jego tam nie ma ? /chwytając oddech/ Naprawdę ? - naprawdę? - naprawdę ? - /chce ją objąć za szyję, ale opiera się tylko na jej ramieniu/

MARYNIA

- Tylko póki straszna pani...

IRENA

- Maryniu !... /kurczowo czepia się jej oburącz ale słabnie, podtrzymywana przez Marynię, osuwa się bezsilna na podłogę/

MARYNIA

- Panienko !... Jezus Marja !...

WIĄZECKA

/wchodząc/ Jak wymarzony dla mnie.- Co to ? /podchodzi żywo/

MARYNIA

- Nic, panience zrobiło się słabo.

WIZERUNKI

- [illegible]... /pochyla się nad nią/

Kurtyna.

A K T III.

/Pokój jak wyżej, dostatni i elegancki - na ścianach kilka doskonałych reprodukcji słynnych mistrzów, między nimi Dama Leonarda da Vinci, przy drzwiach pastjery, na bocznej ścianie szafce z podręczne bibljoteki „sitarnik" rozsianych fotografji.

Letni dzień, godziny popołudniowe. Przy biurku siedzi IRENA i z ołówkiem w ręku czyta książkę, notując po części na marginesach, po części na leżących obok kartkach papieru.- Dalszymi drzwiami z lewej strony Maryni.- Widząc Irenę pracującą, zwalnia kroku, wreszcie zatrzymuje się i czeka./

S c e n a 1.

IRENA

/zauważywszy ją wreszcie/ Chcesz czego ?

MARYNIA

- Przyszła Burakowa.

IRENA

/z największem zainteresowaniem/ Przyszła ! - a nie mówiłam, że przyleci o tej porze. /wstaje/ Widocznie ją to mocno korciło.

MARYNIA

- Boże, żeby się to raz wreszcie... Ja już tak dłużej nie mogę.

IRENA

- Ty ? ty nie mogłaś ?

MARYNIA

- To już drugie na mojem sumieniu.

lóś.

IRENA

/nieco podrażniona/ To z nim zawsze jak z żywą kobyłą na targ.- Wiesz co ? rozstańmy się lepiej.

MARYNIA

/obrzuca ją wylękłym spojrzeniem/

IRENA

- No,tak, jestem dla niej za gorąca,- męczysz mnie.

MARYNIA

- Dobrze panienko,- odejdę...

IRENA

- Zostaniesz.- Mówiłaś już z nią co ?

MARYNIA

- Nie jeszcze, to trzeba pomaleńku.

IRENA

- Właśnie prosto z mostu, takich najlepiej zaskoczyć znienacka. Weź tylko uroku z kredensu i nie żałuj go. Choćby hakami musisz to z niej wyciągnąć. Bo żebym mi się ono sto razy przysięgała, na mogiłkę wdzięka - nie uwierzę. Dziecko było przecie zdrowe.

MARYNIA

- Jak rydz. A zamorzyć go nie mogła,bo i kiedy. Przez te dwa lata, co starsza pani tu była, ważna mię wciąż na harku a potem, jakeśmy jechały do kościoła, ślęczała, że ja wnet wrócę.

IRENA

- Musiałaś się przed nią wyrwać, że mnie ta potem cały rok nie będzie.

MARYNIA

MARYNIA

- Nigdy, panienko, ani słóweczkiem - a choćby i powiedziała, to cóż ? - przecież to było moje dziecko.

IRENA

- Któż zaręczy, czy ona nie domyślała się czego. Tyle razy byłam z tobą u niej, tylem razy brała go na kolana i pieściła -

MARYNIA

- Ja panience przysięgłam.

IRENA

/podrażniona/ Nie trzeba go było z domu wynosić. - /spokojniej/ Zmarnowali mi go, zmarnowali, nieviadomo jak i kiedy. Gdy pomyślę, że teraz miałby już piąty rok,- żwawy szczeniak, biegał, broił,- byłoby się już do czego przywiązać.../zrywa się z jednego z foteli/ Co ona z nim zrobiła ? co ona z nim mogła zrobić !...

MARYNIA

- Czyż panienka przypuszcza ?...

IRENA

- Nie wiem.Niczego, ale mi jakiś głos wewnętrzny mówi, że on żyje, że tu się stało coś, czego...że tu ktoś.../ze jakiejś dalekiej myśli, z pogardą i nienawiścią/ Nigdy, nigdy ! - Choć trzy wiary muszę w siebie wlać, że jeśli już do niczego więcej,to przynajmniej do obcowania dorosłam. Nie można żyć plując sobie codziennie w twarz ! - Idź i wybadaj ją,a gdybyś uważała, że ona nie dała sobie rady... Pamiętasz daty ? Dwudziestego ósmego sierpnia przyszła od niej kartka, że żyje.

MARYNIA

- Mam ją jeszcze.

IRENA

- Nazajutrz pojechałyśmy ze starszą panią w świat, a ty miałaś tylko wstąpić na wieś do swoich.

MARYNIA

- Na trzy dni.

IRENA

- Najpóźniej zatem drugiego, trzeciego września powinnaś była tu już być. Czy byłaś ? - nie wiem.

MARYNIA

- Byłam.

IRENA

- Tylko sobie dobrze przypomnij, - toć rok temu, nie łaś zapomnieć.

MARYNIA

- Byłam, panienko, a nazajutrz - zanim się wzięła porządkować mieszkanie - pobiegłam do niej.

IRENA

- I cóż ? cóż ona wtedy ?

MARYNIA

- Nic, - że umarło i że już pochowane, - żeby się nie trapiła, bo jemu tam, lepiej, że... Ot, jak to zwykle w takich razach. Chciałam do panienki natychmiast telegrafować, ale wiedziałam to gdzie ? A potem, może źle adresowała. Profesora nie było, - któż mi miał po francusku napisać ? Kilo dwadzieścia listów wysłałam, - że nie doszły, nie moja wina.

IRENA

- No dobrze,- ale czyż cię to nie zastanowiło, że ja ani odpowiadam ani przyjeżdżam.

MARYNIA

- Owszem, dziwne mi się to wydało, ale...

IRENA

- Co ?

MARYNIA

- Panienka nie sama była a przytem przyszło mi na myśl, że...

IRENA

- Że co ?

MARYNIA

- Że panience...iżej bez tej ... kuli u nogi.

IRENA

/wstrząsowana tem jej wyrażeniem/ Kuli u nogi ?... Cóż ci do głowy przyszło tak to nazwać ? gdzieżeś ty to wyczytała ? - no, bo przecież z powietrza nie wzięłaś. /wskutek szmeru dochodzącego z przedpokoju, wskazała ku niemu/ Ktoś wszedł, nie słyszysz ? /idzie żywo w głąb,- półgłosem i pośpiesznie/ Ktoby nie był, niema mię w domu. /staje w drugim pokoju w głębi i odszukuje widzialną między portjerami/

MARYNIA

/poskoczyła żywo do przedpokoju, lecz spóźniła się nieco tak, że zdążyła przybyłych w progu bliższych drzwi w lewo/

Scena 2.

SOLIŃSKA

/dawna Janka Miłocka - na tle przedpokoju/ - Zastajemy panią ?

MARYNIA

- Panienka wyszła.

SOLIŃSKA

- Tak, widziałam, do drugiego pokoju. /słychać w przedpokoju czyjeś znaczące chrząkanie - Solińska ogląda się - i zaznacza gestem głowy: „wiem co robię"/

MARYNIA

- Kiedy naprawdę...

SOLIŃSKA

- Rozumiem cię, moje dziecko, ale jestem pewna, że dla nas zrobi wyjątek /szybko wyjmuje z torebki bilet,- widząc jej wahanie/ Zanieś, zanieś, ja to już biorę na siebie.

MARYNIA

/acz niechętnie, odchodzi w głąb,- oddaje bilet Irenie,- Irena go wzięła, przeczytała, wzruszyła ramionami, poleca odprawić gościa/

SOLIŃSKI

/podczas tego z przedpokoju do Solińskiej, która stoi śród garnituru mebli w lewo, półgłosem/ Anka, ów pokój Anka ! Przyjdziemy później.

SOLIŃSKA

/półgłosem/ Kiedy ? chyba zatrzymamy się przez jutro.

SOLIŃSKI

/j.w./ Niepodobieństwo,- cóż zrobię z końmi na stacji.

POLIŃSKA

/j.w./ Właśnie. A jak nie dziś, to już się z nią nie zobaczę.

POLIŃSKI

/j.w./ No, mogłabyś przecież na powrotnej drodze...

MARYNIA

/powróciwszy/ Panienka bardzo przeprasza, ale...

POLIŃSKA

/trochę skonfundowana/ Nie może ? mnie ? - Ha, no, trudno, nie może, to nie może. Bardzo żałuję. Proszę pani powiedzieć, że była tu dama Janka Miłocka - zapomniałaś ? /dobitniej/ Janka Miłocka.

IRENA

/która za portjerą w grębi otrzygła uczem - wbiega/ Jestem, jestem !

POLIŃSKA

- Irka ! /witają się serdecznie/

POLIŃSKI

/cofa się tymczasem do przedpokoju, by odłożyć zarzutkę i pakiecik/

IRENA

- Darujcie, moja droga,- z tego biletu nie byłam mądra. Jak się masz, moje życie. Pamiętałaś o mnie. /pocałunki/ Jakaś ty dobra, jakaś ty poczciwa - nie mogłaś mi sprawić większego święta.

POLIŃSKA

- I sobie, Irko, i sobie. A już chciałaś z kwitkiem odprawić.

IRENA

- Bo - widzisz - tak się dzisiaj złożyło... Ale to nic.- Maryniu, wracaj do kuchni i rób swoje. Weź z kredensu co trzeba i... rozumiesz mnie ?

MARYNIA

- Rozumiem. /wychodzi dalszymi z lewej/

SOLIŃSKA

- Irko, powiedz szczerze, możemy ci tu nie w porę ?

IRENA

- Możemy ? Toś ty nie sama ? /idzie żywo w stronę przedpokoju, skąd wchodzi Soliński.- Irena nieco zdziwiona/ Pan ? /patrzy na nich kolejno,- z łączącym ich gestem rąk/ To wy ?...

SOLIŃSKA

- Ta jeszcze nie skombinowała.

SOLIŃSKI

/żartobliwie/ Kombinacja trochę dziwna, prawda ?

IRENA

/nieco zmieszana/ Dlaczego ? Tylko nazwisko pańskie wyleciało mi z pamięci i w pierwszej chwili../podaje mu rękę/

SOLIŃSKI

/całując/ Niech się pani przyzna, że panią co innego zbiło z tropu. Nie przypuszczała pani, żebym tak nisko upadł, prawda ?

IRENA

- Jakto ?

SOLIŃSKI

SOLIŃSKI

- Po kilku zaledwie latach pożycia, zostawia mię w przedpokoju, jak parasolkę.

SOLIŃSKA

/grożąc mu/ Tej właśnie nigdy z ręki nie wypuszczam.

IRENA

/[illegible] się do ich tonu/ Jakie można było żenić się z tą [illegible]. /obejmuje i całuje Solińską/

SOLIŃSKI

- Wstając [illegible] sam siebie o to pytam i nie znajduję odpowiedzi. Stacz się. A kto temu wszystkiemu winien ?- pani.

IRENA

- Siadajcie.- Więc to ja winna pańskiej niedoli ?

/usiedli na garniturku z lewej/

SOLIŃSKI

- Jeźci. A gdzieś mnie ona oplątała, jeśli nie w tej tam altance z mój i jaśminów - pamięta pani ? - tam w ogrodzie u Łęckich.

IRENA

/[illegible] zachmurzyło ją na sekundę - głosem pogodnym/ To to takie stare dzieje ? takie z was koty ? Nic nie siedziało,- ej Jasio, Jasio.

SOLIŃSKI

- Bo to - widzisz - tak było. Raz ja przyszłam do ciebie zaczepnie, drugi raz on przyszedł zaczepnie.

IRENA

IDZIA

- Później obaj już przychodziliście zawsze -

SOLIŃSKI

- I djabeł zrobił swoje, że wszystko było na porę.

IRENA

- Mimowoli zatem i bezwiednie byłam dla was Galeottem. A kiedyżeście...przestali czytać ?

SOLIŃSKI

/emfatycznie, z intonacją pytania/ „Zginście na piśmi, wstańcie czyny moje" ?

IRENA

/przytakuje głową/

SOLIŃSKA

- Bardzo dawno, już zapomniałam. Cóż fakt żałosny zaszedł w Bernie szwajcarskiem, dokąd mnie podstępnie zwabił czułymi listami a co do daty ? - miałabym też co pamiętać ! Niech ci on na pierścionku pokaże.

SOLIŃSKI

/zabierając się do ściągnięcia pierścienia/ Widzi pani, widzi pani,- na każdym kroku takie szpilki i upokorzenia. I ja to znoszę.

IRENA

- Niech pan nie ściąga. Co tam data ! - Musi być świeża, bo jeszcze musujecie jak szampan.

SOLIŃSKI

- Gdzieżtam, pani ! - jeden korek już dawno wyleciał i raczkuje po podłodze, a drugi...

SOLIŃSKA

[illegible]

- Janek, nieznośny, gadaj ! Może choć gospodyni pozwolisz wejść do słowa.

IRENA

- Przeciwnie, niech pan mówi. W pańskim głosie jest jakiś rozmach szczerości i to taka rzadka muzyka dla moich uszu a nietylko... dla uszu. /spochmurniała nieco/ Znacznie na stałe ze kraju ?

[illegible]

- Dziewięć lat, - a jakoś tu co robię w tem zatęchłem powietrzu.

IRENA

- Ja pan rozumiem,- tu i oddychać nie ma czem i naprawdę ulatnia się nie każdego człowieczeństwo. Ale i tam !... Byłam teraz przejazdem,- Berlin a potem Francja i trochę nad morzem w Bretanji. Tam znowu tętnota człowieka żarł. Jakże wy z nią sobie radzicie ?

[illegible]

- No stary, wyrąbowany, cholery dostać. /chce przywołać żonę i pocałować/

[illegible]

- Janek ! /zgłębiona wyrywa się i przeszedłszy w prawo, siada przy biurku Ireny/

[illegible]

/kręcąc poprzednio zdanie/ ... a na chandrę, taką chandrę, co to psiakrew ! jest Laboratorjum albo góry. Toć-to cholery bierzemy. Czasami, nawet często, przywleze ktoś z sobą kawał Polski, to jest plotek. Włóczy się tam tego pełno, nie wiedzieć po co i na co ?

Ot, choćby... jakże się ona nazywała ? - z waszego niegdyś „bractwa cztrech I"... uch, no jakże ona ? Pamiętasz Anka, ta strojnisia...

[illegible]

/ucinkowo/ Nie pamiętam. /zagłębia się w papiery Ireny/

[illegible]

- No ta, ta... musiała przecież być u pani... Anka przesłała pani przez nią kwiatki i pozdrowienia - /przypomniawszy sobie/ Szczawińska !

IRENA

/z kostycznym uśmiechem/ Ach, Jolka Szczawińska... Nie, nie doszły mię i dojść nie mogły. A podjęła się ich, prawda ? Otóż widzi pan, to jest specyficznie nasze. Nawet tam w Barrie... Zresztą to nie pomieszało odrazu: nie przyjmuję awansu, to zerwałam z nim. Tak, zerwała - i nie ona jedna. Wszystkie. Zresztą to bezpieczniej nie kompromitować się.

[illegible]

- Irko !

IRENA

- My wszyscy żyjemy oszustwem. No tak, nazwijmy rzeczy po imieniu.

[illegible]

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz.

IRENA

- Poznałam już świat i ludzi.

[illegible]

- To znaczy - siebie.

IRENA

- Ja też siebie nie wyłączam - przeciwnie.

/chwila przykrej ciszy/

SOLIŃSKI

- Wiecie panie co ? macie sobie pewno niejedno do powiedzenia /wobec gestu Ireny a po części Solińskiej/ no tak, nie byłybyście kobietami - że Anka nią jest, ręczę,- Otóż -/wstaje/ pogadajcie tu sobie, a ja tymczasem wybiegnę załatwić coś na mieście,- dobrze ?

SOLIŃSKA

- Zaniedbuj mnie, zaniedbuj -

IRENA

- To niebezpiecznie.

SOLIŃSKI

- Wszystko na drugo.- Ale zajdziesz tu po mnie ?

SOLIŃSKI

/przyjmując podaną dłoń Ireny/ Zaręczam pani, że gdyby każdy oblubieniec mógł wieszczym duchem przeczuć te tobołki, których później musi pilnować...

IRENA

- To co ?

SOLIŃSKI

/oddając ją w rękę/ Ludzkość przestałaby się rozmnażać. Dowidzenia. /do Solińskiej/ Pa, toboł...aniołku. /wychodzi drzwiami bliższymi w lewo/

Scena 5.

IRENA

- Lubego masz męża.

SOLIŃSKA

- Złote chłopczysko. Nie orzeł ale za to zacność chodząca. I kocha - wiesz ? - tak poprostu, serdecznie. Można zupełnie wiosła odłożyć, zamknąć oczy i... wieź mnie, gdzie chcesz !

IRENA

/która tymczasem usiadła na sofie przed biurkiem plecami o boczne oparcie jak na szezlongu tak, że może z Solińską swobodnie rozmawiać/ To jest właśnie szczęście, to największe. Żeby to tak można choć na sekundę!

SOLIŃSKA

- Bardzoś zmęczona.

IRENA

- Uszczwali mię jak zająca. Ten pies wyraźnie kawał, tamten pies wyraźnie kawał,- przeliczyłam się z siłami. Postawiłam wielką stawkę i... albo tak przynajmniej jakbym już przegrała. Bo... ty wiesz...że przeszłam...macierzyństwa ?

SOLIŃSKA

- Wiem.

IRENA

- Nie dało mi ono nic, nic, prócz boleści, łez i wstydu. Jeszcze komuś... Pamiętasz nasze dyskusje ? Dziś widzę, że to się wyrozumować nie da. Miłość jest dla nas wszystkiem. My jej wyłącznie pragniemy a dziecko jest tą Schoppenhauerowską niespodzianką, rodzajem deus ex machina.

SOLIŃSKA

/z przekonaniem/ Mylisz się.

IRENA

- Ach ! /machnęła ręką/ Mnie nawet instynkt zawiódł,- nie przywiązałam się.

POLIŃSKA

- Nie ? - powiedz mi, jak może nie przywiązać tata owoc dwóch bliźniaczych kwiatów, dwojga oddanych sobie serc ?

IRENA

/z pewnem zmięszaniem/ Otóż to,- serc, serc... U ciebie tak było, ale... Nie mówmy o tem. /innym tonem, trochę żywiej/ U mnie tak nie było, ja nie zazdrościłam... Ty, nie patrz tak na mnie, nie porzuciłam się. Nie byłam latawicą.

POLIŃSKA

- Irka !

IRENA

/znów z pewnem zmięszaniem/ Dopiero jestem na drodze do niej i tego się boję. /objaśniająco/ Dużo nie ciałam. /wstaje, zaczyna chodzić/

/pauza/

POLIŃSKA

/wskazawszy na książki na stole/ Widzę, że nad czemś pracujesz. Cóż z twojej dysertacji ?

IRENA

- Nic.- Chciałaś ci coś na myśl przyszło ?

POLIŃSKA

/wskazując na fotografję „ostrzyha"/ Tak,- spojrzałam na fotografję Żmudy.- Żyje ? - Cóż porabia ?

IRENA

IRENA

/trochę zmieszana/ Nic. Wykłada.

SOLIŃSKA

- Bywa u ciebie ?

IRENA

- Owszem, on jeden nie zmienił się dla mnie, choć niejeden... Owszem, bywa, i dziś ma przyjść. Złożył na moje ręce quasi testament i...

SOLIŃSKA

- I co ?

IRENA

- Nic.

/Pauza/

SOLIŃSKA

- No, a materjalnie ? jakże ci idzie ? Wciąż jeszcze musisz się tak borykać ?

IRENA

- Teraz już mniej. Ludzie trochę zapomnieli a raczej udają, że zapomnieli. Dużo mi pomogło, że przez dwa lata miałam tu matkę przy sobie.

SOLIŃSKA

- Tak ?

IRENA

- Ale com przeszła, to tylko ja jedna wiem. Dwa lata męki ! Pilnować, żeby nie doszło do jej uszu, żeby nie dopuścić do niej nikogo...

SOLIŃSKA

/z odcieniem zgrozy ale i współczucia/ Nie przyznałaś się ?

IRENA

/zaprzecza głową,- z bolesną ironją/ Żeby nie zatruć jej starości, nie zburzyć w niej wiary... ha-ha-ha ! tak to - widzisz - argumentuje wzniośle Judasz, co w każdym z nas siedzi. Ją ocalić... /b.namiętnie/ siebie, siebie, siebie !! /spokojniej/ W pierwszej chwili przypadek zdecydował... Nie przeczuwałam następstw. Świat podziwia moje studjum „O lęku",- nagrodzono je w Sorbonie,- Jezus Marja ! żeby oni wiedzieli, czem ob[illegible] tom I-wy. Nie słowem,- tam każda litera krwią broczy,- rozumiesz ? - każda !!

HOLIŃSKA

/wstała, podchodzi do niej/ Moja Irko, to jest zwykła cena sławy. Ślimaki nie rozbijają się, tylko orły.

IRENA

- Proszę ! /z gestykulacją świadczącą, że niemal widzi to, o czem mówi/ Wiesz, jak mi się przedstawia moja śmierć ? Wiesz jak ? - Mur, taki mur z ordynaryjnych cegieł,- wąski, że tylko w pojedynkę iść po nim można. Z jednej strony jakieś zarośnięte bagno pełne ropuch, z drugiej lazurowy kryształ z łódką, w którą tylko siąść i... nieść mnie gdzie chcesz ! W obie strony jednako blisko a wierzch muru jeży się potłuczonem szkłem. Po takim murze idę boso.

HOLIŃSKA

- Skocz w łódkę.

IRENA

- Nic łatwiejszego. Tylko trzeba dać przewoźnikowi obola, niezłego obola, na którym napis: podłość.

HOLIŃSKA

SOLIŃSKA

- W tym uczuciu przełoży się na zwycięstwo złotą. Przegrałeś głową,- wygrój sercem. Kochasz ?

IRENA

/b.namiętnie/ Każdym fibrem niezaspokojonej tęsknoty.

SOLIŃSKA

- A on ?

IRENA

- Ofiarę całego życia u nóg moich położył,- bez słowa skargi, bez nadziei wzajemności --

SOLIŃSKA

- To znaczy, że tą nadzieją tylko żyje. Powierz mu się.

IRENA

- W tem wszystkiem, co mi zbrzydło ze mną ?

SOLIŃSKA

- Wolisz brać ofiarę czyjegoś życia i nic za to nie dać ? - Irko !

IRENA

- Nie mogę !

SOLIŃSKA

- Nie chcesz !

IRENA

- Nie mogę, nie mogę,- skrzywdziłam go [illegible] niż siebie...Nie mogę, nie powinnam... Widzisz, on zna moją przeszłość, wszystko... Widzisz, co innego jest wyrozumiałość,- sam Bóg nie mógłby mi jej większej okazać,- a co innego przebaczenie,- źle mówię: pamięć! Tę wydrzeć z niego nie w mojej jest mocy.

SOLIŃSKA

- Ale w jego. Siądź w łódkę.

IRENA

- Gdybym miała pewność... Boże ! cień jej by nie wystarczył...

/Podczas ostatnich słów słychać było jakiś szmer w przedpokoju,- drzwiami bliższymi z lewej wchodzi chłopiec z magazynu kwiatów, uginając się formalnie pod ciężarami chryzantem, astrów, heliotropów i tuberoz. W chwilę potem wchodzi Soliński./

S c e n a 4.

IRENA

- Jakie śliczne,- patrz Janka, jakie cudne ! To pomyłka, chłopcze.

SOLIŃSKI

- Oczywiście - jak ty mogłeś pomyślu... Skandal, czysty skandal. /odbiera część kwiatów/ Wyrwał się żonkoś cichcem na swobodę, zażył sobie upatrzyć kobietkę -

SOLIŃSKA

- Oczy ci wydrapie !

SOLIŃSKI

- Taki blamaż może się zdarzyć tylko w zaścianku. /do chłopca/ Ach, ty ! no, zostaw i zmykaj, gdzie pieprz rośnie. Czekaj, a wiesz przynajmniej, gdzie pieprz rośnie ?

CHŁOPIEC

- W ciepłych krajach.

SOLIŃSKI

SOLIŃSKI

/dając mu napiwek/ No, to masz na drogę. /chłopiec wychodzi/

IRENA

- Jakież cudne te chryzantemy.- Ach,i tuberozy !

SOLIŃSKI

- Nie wiem tylko, czy pani znosi ich zapach.

IRENA

- To dla mnie ? naprawdę ?

SOLIŃSKI

- Na przeprosiny za najście i za to, że zabieram Ankę i to natychmiast. Byłem w hotelu...

SOLIŃSKI

/niespokojna/ Co się dzieciom stało ?

SOLIŃSKI

- Okropność, przeziębił się w piwnicach i dostał zapalenia włosów. Tragedja.- Gorsza jeszcze, że za godzinę nasz pociąg odchodzi,- od wczoraj zmienili rozkład - i jeżeli mamy na noc rodziców uściskać...

IRENA

- Jedziecie do nich ?

SOLIŃSKI

- Za godzinę. Zbieraj się Anka.

/Z lewej drzwiami dalszymi wchodzi IRENA z pewnem zakłopotaniem zatrzymuje się/

SOLIŃSKI

/całując się z Ireną/ Na powrotnej drodze wpadnę do ciebie znowu.

IRENA

- Żegnaj, moja złota - i pan, pan także /podaje mu rękę/ Odżyłam przy was. Pan jest kochany.

SOLIŃSKI

/całując ją w rękę,- do żony/ Słyszysz ?

IRENA

- Kochany.

SOLIŃSKA

/rozdzielając ich/ O,moja droga, przynajmniej nie przy mnie.

SOLIŃSKI

/z udaną emfazą/ Milcz serce !... /poważnie i bardzo serdecznie/ Dowidzenia nasz ty Galeotto. /pocałował w rękę i wyszedł do przedpokoju/

SOLIŃSKA

- Bądź zdrowa Irko. Głowa do góry...i...z zamkniętymi oczyma !

IRENA

- Nie mam odwagi -

SOLIŃSKI

/na tle przedpokoju, z zarzutką i pakiecikiem/ No, Anka, Anka -

SOLIŃSKA

- Zaraz.- /do Ireny/ Świat do odważnych należy.

IRENA

/z zadumą i goryczą/ Ale ja do tchórzów.

SOLIŃSKA

SOLIŃSKA

/pocałowała ją i wyszła,- po chwili słychać z przedpokoju głos Solińskiego: do widzenia ! i głos Solińskiej: do widzenia Irko ! - Irena jednak nie reaguje na to,- dopiero gdy spostrzega przy sobie cień Maryni, budzi się z zadumy/

S c e n a 5.

IRENA

- No, cóż tam ?

MARYNIA

- Zacięła się i ani rusz. Nie było mię tu słychać, jakem zawodziła od płaczu ?

IRENA

- Nie. A nie miarkujesz... może ona na pieniądz łakoma ?

MARYNIA

- A któraż z nich nie chciwa ?

IRENA

- Przyprowadź ją tu, muszę się z tem uwinąć zaraz... /za niknącą już w dalszych drzwiach z lewej/ Ale nie pijana ?

MARYNIA

- Trochę się zaryżyła.

IRENA

- Przyprowadź. /ze zmarszczką na czole skupia swe myśli,- potem instynktownie, by uniknąć zetknięcia z przybyłą, siada w fotelu za biurkiem i wyjmuje z szuflady szkatułkę żelazną,- otwiera ją, dobywa list opieczętowany, spojrzała na niego, zda się chce go nawskróś

przeczytać,- odkłada jednak,- potem bierze kilka banknotów i przelicza je [illegible] jednej ręki, rozsuwając je w wachlarz.- Chwilę czeka.- Drzwiami dalszymi z lewej wchodzi BURAKOWA, podmiejski ordynaryjny typ,- mówi jednak głosem przyciszonym, nawykłym do poufnych rozmów/

BURAKOWA

- Całuję rączki.

IRENA

- Jak się macie, Burakowa. /widząc, że chce podejść i przywitać się z nią, zatrzymuje ją gestem/ Dzień dobry, dzień dobry. Maryniu, daj krzesło.

MARYNIA

/przynosi wyplatane krzesło z pokoju w głębi,- stawia je nawprost w pośrodku/

BURAKOWA

- Postoję.

IRENA

- Siadajcie.

BURAKOWA

- Całuję rączki. /siada/ Kopkę już późno na mnie. Telo drobiazgu na głowie. A jeszcze mam Nestla kupić.

IRENA

- Używacie go ?

BURAKOWA

- Podkarmiam, bo krowa cielna. Niech się ta tuczą robaczki, nie żałuję im. To też czerwone i tłuste.

IRENA

IRENA

- No, nie zawsze i nie wszystkie.

BURAKOWA

- Cheby który chorowity, to się trefi.

IRENA

- Trudno o zdrowsze dziecko jak był jej Staś.

BURAKOWA

- Wola boska była.

IRENA

- Cóż mu się stało, powiedzcie. Przejechali go ? wpadł do gnojówki ?

BURAKOWA

- U mnie ? u „aniołka" ?

IRENA

- Może się udławił ?

BURAKOWA

- Czem ? - cheba mlekiem.

MARYNIA

/insynuując/ Mógł i poduszką.

BURAKOWA

/nie podnosząc się, przekręca się ku niej na siedzeniu, dobrodusznym głosem ale z wyrafinowaną złośliwością/ No, no, jabym cię wziena za nienię,- wypraktykowanaś. /odwraca się ku Irenie/

IRENA

/podrażniona, [illegible] znak Maryni, aby odeszła/ Niech Burakowa nie zważa na nią, żal przez nią mówi. My się łatwiej dogadamy. A może jeszcze szkla-

neczkę herbaty z rumem, co ?

BURAKOWA

- Całuję rączki.

IRENA

- Marynio, przygotuj tam -

/MARYNIA odchodzi./

BURAKOWA

/wstaje/ późno już na mnie.

IRENA

- Chwileczkę.

BURAKOWA

/siada/

IRENA

- Ja wiem, Barbaro, że z was rzetelna kobieta...

BURAKOWA

- Rozumiałby się to „aniołkiem" ? Ja te jeszcze chwalić Boga żadnych kwestyj nie mam, żaden śpektor nie miał u mnie co szukać -

IRENA

- Któż wie...

BURAKOWA

- Mnie, prawie lichi pan, jakto powiadają człowiek szczerego złocipięcia żyłby radziecko i /podnosząc rękę na rękę swojej/ wreszcie...

IRENA

/lekce pukając mi odrzec/ Przestańcie !...

BURAKOWA

BURAKOWA

- To ino telo znać co od pokrzyw.

IRENA

- Dość dla komisji. Bo to, rozumienie, że musi się zrobić ekshumację.

BURAKOWA

/zaniepokojona/ Ekshumacja i w „niołka" ! - Znajdą gu-zik !

IRENA

- Co znajdą, to znajdą.

BURAKOWA

/obejrzała się, podchodzi do biurka, prawie szeptem/ Musieliby gdzieindziej szukać.

IRENA

- Poszukają. Marynia tego żąda. Jutro zrobi się doniesienie do sądu.

BURAKOWA

- Co nią ona straszy sądem. To nie wolno dziecka podać ojcu ?

IRENA

- Ojca ?! /spokojniej/ jakiemu ojcu ?

BURAKOWA

- No, ojcu. Toli je odebrał... A tak ! a ja co mam bez to cierpieć ! Ja jej nie mówię, że [illegible],- przysięgłam. Ale ekshumacyja a mnie nie wyda i nie będzie.

IRENA

/ledwo hamując wzruszenie/ Więc...ono...żyje ?

BURAKOWA

BURAKOWA

- Jam je odesłała zdrowe.

IRENA

- Dokąd ?

BURAKOWA

- Na wieś, do jakiegoś leśniczego.

IRENA

/z pierwszym oznakami dreszczu/ Leśniczego...gdzie ?

BURAKOWA

- Jakoś się to nazywa... Borówka ?...

IRENA

/z zapartym oddechem/ Do Sosnówki ?

BURAKOWA

- A ino.

IRENA

- A tam...jego...ojciec ?

BURAKOWA

- Tam to ?

IRENA

/wstaje - wziąwszy fotografję Żmudy, pokazuje jej nie spuszczając z niej oczu/ Czy...nie...ten ?

BURAKOWA

/odrazu/ No, no.

IRENA

- Ten ?! - Nie, czekajcie, spokojniej,- pomówmy spokojniej... Przyjrzyjcie się dobrze, Burakowa,- na Boga! przyjrzyjcie się dobrze. Ja wam dam...ot, tyle, ile

mi się wzięło do ręki /wzięła garść banknotów/ Na zbawienie duszy powiedzcie: czy Stasia wziął ten pan ?

BURAKOWA

/przyjrzawszy się/ Akuratnie ten.

IRENA

/jak podcięta siada na fotelu,- walczy z szarpiącymi ją uczuciami/

BURAKOWA

- Taki już obstarni, [illegible],- no, hrabia. Ino wu tu ktoś bez skroń wojsko /ukazuje/ Chodził i prosił i docierał... Ja nic. Ale jak mi się przysiągł, co ono jego, co będzie miał o niego starunek... A i coś tam wsunął...

IRENA

- Nie mówcie, nie mówcie nic, Burakowa. weźcie te pieniądze i nic nie mówcie.

BURAKOWA

- Cobym miała /zgarnia pieniądze/

IRENA

- Cicho, cicho,- nie mówcie nic, nic. Najlepiej, idźcie już. Ja wam tam później co dołożę...

BURAKOWA

- Ino coby Marynia...

IRENA

- Bądźcie spokojna.

BURAKOWA

- Całuję raczki. /uszła kilka kroków, odwraca się/ A ta humacja, proszę łaski pani...

IRENA

/daje jej znak,ręką,żeby wyszła/

BURAKOWA

- Całuję rączki. /wychodzi/

IRENA

/chwilę siedzi zupełnie bez ruchu, wpatrzona w fotografję Żmudy, której nie puściła z ręki/ On...znowu on... /przechyla się wstecz - patrzy tępo przed siebie,- po twarzy jej płyną pierwsze łzy,- ociera je palcem na policzku. Zwolna głos jej zaczyna wstrząsać dobry, ciepły, długo przynoszący szloch. Przy jednem silniejszem zniesieniu się, ,pochyla się naprzód,- opiera głowę na rękach i na stole i płacze długo, długo./

Scena 6.

MARYNIA

/wraca, poglada na nie chwilę, podchodzi do biurka/ Panienko !

IRENA

/nie rusza się/

MARYNIA

- Panienko.../kładzie jej rękę/

IRENA

/podnosi głowę, patrzy na nią/

MARYNIA

- Niech się panienka uspokoi.

IRENA

/potrząsnąwszy głową/ Czerwone mam oczy ?

MARYNIA

MARYNIA

- Trochę.

IRENA

- Nie trzeba, żeby zauważył. Daj mi lusterko.

MARYNIA

/przynosi z drugiego pokoju, podaje/ Łaże wody kolei-skiej ?

IRENA

/nie odpowiadając na pytanie, po chwili/ Nie wyglądam jeszcze tak stro, prawda ?

MARYNIA

/obrzuca ją zdziwionem nagle spojrzeniem/

IRENA

- No, powiedz-że mi. /oddaje jej lusterko, które ona odnosi skąd przyniosła. Irena żywo i elastycznie wstaje z fotela, poglądając na swą toaletę/ Frida to muszy z fotela, poglądając na swą toaletę/ Frida to mu-knia taka już... /Marynia wróciła/ Cóż tak patrzysz na mnie ? że nie płaczę ? Nie trzeba płakać, życie jest piękne, och, jakie piękne ! - Daj te kwiaty, żywo. /Marynia poskoczyła do stolika w lewo, dokąd i Irena podchodzi/ Szkoda, że tak mało.../wzięła ich pęk w każda dłoń/ Gdzie flakony ? - przynieś tu wszystkie,- wszędzie, i tu i tam, wszędzie ! Ach, nie marudź, moja droga, prędko, prędko ! /Marynia wskutek pośpiechu zleceń nie wie co pierwej robić - wreszcie wybiega do pokoju w głębi - po chwili wraca z kilku różnej wielkości flakonami. Tymczasem Irena napawa się kwiatami, tuląc do nich twarz/ Cudne, cudne ! /widząc, że Marynia zabiera się w pierwszej linji do umajenia „ołtarzyka" z fotografjami/ Czekaj, tam nie,- tam ja sama, ja sama.

/podbiega, popychając Marynię ku stołowi w lewo/ Ty tam,- tylko nie ściskaj, zupełnie wolno, po kilka gałązek. /nerwowo i pośpiesznie gdzie może ustawia kwiaty,- Marynia jej pomaga, ale wraz wraz poglądo na nią zdziwiona/

/Pauza/

MARYNIA

/nieśmiało/ A... proszę panienki...

IRENA

/nie przerywając roboty/ Co moje złota ?

MARYNIA

- Tak... Tak ?

IRENA

- Tak !

MARYNIA

/zniecierpliwszy kwiatów/ Irenio ?!

IRENA

- Tu w mnie ! Przebaczyłam tobie i jemu wszystkie moje łzy, bo i mnie przebaczono.

MARYNIA

/zasłyszawszy coś z przedpokoju chrząka/ Hm-hm., panienko... /wchodzi ku przedpokojowi, uchyla ku drzwiom drugim w lewo/ Pan Profesor...

IRENA

/wbiega do przedpokoju, zrywać jej głos/ Ach, już myślałam... /wchodzą,- z przyjaznym wyrzutem/ Niedobry, tak późno.

S c e n a 7.

ŻYDA

- Trochę-m się dziś zasiedział.

IRENA

- Zawsze nad mikroskopem ?

ŻYDA

- Tym razem nad mikrokosmem. Habilitacja.- Wprawna głowa ale otwarta. Ułóży i we łbie mu się poli. Z takiej mąki byłby chleb. Z niego będzie chleb. /wrzuca jej pudło cukrów/

IRENA

/odbierając/ Niepoprawny.

ŻYDA

/całując ją w rękę od strony dłoni/ Taki już jestem. /spojrzał na nią i po pokoju/ Co tu kwiatów ! Czyżby święto ? /spogląda na nią badawczo/

IRENA

/spuszczając oczy/ Może...

ŻYDA

- Tak ?... /sekundę patrzy w nią,- ściska jej dłoń/ Zupełnie jak w siejskie kościele na Zielną. /chrzypiąc swoi nozdrzami/ Tylko kwiatów zawsze wcierzanki... Tego roku nanosiły u nas tyle tego -

IRENA

- Więc jednak był pan w kościele a mówił pan...

ŻYDA

/lekko strojony/ Byłem i nie byłem, ot tak, wpadłem

na jeden dzień zajrzeć do siostry. /przystanął nad stolikiem z kwiatami, gdzie pozostało jeszcze całą górę kwiatów,- wybrał z niej chryzantemę,- na zamiar włożyć ją sobie do butonierki/ Dobrze ?

IRENA

- Wybiorę panu, dobrze ?

ŻYWUDA

/odrzucił swoją, z nadstawioną butonierą czeka/ Dzisiaj święto - niedziela już będzie zupełnie. Cały dzień tak mi się dziś wlecze. Od rana jestem pod wrażeniem.

IRENA

- Tak ?

ŻYWUDA

- Pod niezwykłem wrażeniem.

IRENA

/położywszy na talerz/ Ciastka.

ŻYWUDA

- Dziękuję.

IRENA

- Częstuj się.

ŻYWUDA

- Pozwoli mi pani przyjść ?

IRENA

- Ależ i ja chciałam pani zaproponować,- bo nie pójdziemy nigdzie, prawda ?

ŻYWUDA

/z przykrą konfuzją/ Nie chodzę.

IRENA

/biorąc go pod rękę/ Cóż ci? - Cóż ci tak nastroiło ?

ŻMUDA

- Miałem sen,- pierwszy raz w życiu taki sen.

IRENA

/w lewą rękę [illegible] kwiatów ze stołu ściąga go lekko,- zaczynają chłonąć/ Piękniejszy niż rzeczywistość ?

ŻMUDA

/spojrzał na nią,- z błogim uśmiechem/ To było tak samo lube. Zazdroszczę tym, co może co dnia miewają takie zwidzenia.

IRENA

/nie zmieniając pozycji swej prawej ręki, którą Żmuda przyciska pod ramieniem, pochyla ku niej lewą z kwiatami,- palcami prawej wyciąga z pęku jeden kwiat i nieznacznie upuszcza mu pod stopy. Żmuda pochyla się, chce się poń schylić/

IRENA

- To nic, niech leży...

ŻMUDA

/idąc dalej/ Otóż... Śniłem, że jestem w jakiejś zamkniętej przestrzeni,- niby to sień, niby stodoła ale to był wieczernik, /wskazując na Ostatnią Wieczerzę Leonarda da Vinci/ Nie taki,- bez okien i mroczny ale wieczernik. /Irena znów upuszcza kwiat, Żmuda półruchem chce się poń znowu schylić lecz pociągnięty przez Irenę idzie z nią znów dalej/ Patrzę, stół... taki obszarpany, nasz, chłopski stół. Z prawej paru apostołów, z lewej

parę a za tymi z prawej jakiś cień. Nie widziałem go, ale czułem, że ma twarz stroskaną i zbiedzoną. /Irena zwiesza upuszcza kwiat/ Więc tak wyglądała Matka Boża ? taka biedna ?... Zadrżałem o jakiś płomyk,- bo pełno ich snuło się dokoła,- szepnął mi w ucho: schyl głowę, Ona cię chce obdarzyć. Pochyliłem. Siedziała o parę miejsc dalej ale jam czuł, że mimo to kładę skroń na Jej kolanach. Jakże miękkie były, jak przytulne !... /Irena upuściła mu pod stopy całą garść jak celebranseci/ Ledwom ich dotknął - Ona jedna zdolna tak obdarzać ! łzy nabiegły mi do oczu,- zacząłem szlochać, szlochać jak małe dziecko, tak lekko, tak słodko... /właśnie stanęli przed kanapą przed biurkiem,- Irena kryje nagle twarz na jego piersi - on stara się zajrzeć w jej twarz/ Co takiego ? co pani jest ?- płaczesz ?

IRENA

- Pozwól i mnie...

ŻMUDA

- Ireno !-

IRENA

/osuwa mu się do kolan - popchnięty tem Żmuda mimowoli siada - Irena potrząśnięciem głowy rozrzuciła swe bujne włosy/ Pozwól dokończyć snu... twego snu w wieczerniku. Skrwawione twoje stopy skalałam błotem... /biorąc włosy w dłonie/ Obetrę ci je, nie broń, nie broń Henryku... Do nie bronił jawnogrzesznicy... Łzami umyję,- ustami ucałuję... /Żmuda upół podniósłszy się chce ją dźwignąć z klęczek - lecz znów siada, pierś mu faluje/ Nie odtrącaj,- nie, nie podnoś,- daj mi tak leżeć,... nie tylko tak leżeć u twoich nóg...

/hamował się póki mógł,- w trakcie następnych słów Ireny wybucha straszny szloch,- prawie bezładnie siada na kanapie i zasłania sobie twarz,- w połowie silniejszego szlochu nagle milknie,- ręka osuwa mu się i pada mimowoli na głowę Ireny,- odchylona głowa opada mu martwo na bok. Dzieje się to tak momentalnie i spokojnie, że Irena zupełnie nie spostrzega tego zrazu/

IRENA

- Długo, oddawna szłam ku niemu na kłęczkach... we włosiennicach żalu,- w udręce wstydu,- w żarach tęsknoty... Zbierałam w złotą misę każdą kroplę twej krwi... /przyciska silniej głowę do jego kolan,- pauza/ Przebacz, że mówię o tem... Musiałam, raz jeden musiałam... Ale teraz odejdę, odejdę na zawsze... na zawsze ! Przebacz... /pauza,- zdziwiona ciszą podnosi na niego oczy/ Hen-ry-ku... Jezus Marja ! /czepia się jego rąk, piersi - trup Żmudy przeważa się na bok bezładnie/ Henryku, Henryku,- ach !!

K o n i e c.

-.-.-.-.-.-.-